



Wiś
ilustrowana
LI STOPAD · 1919



TOWARZYSTWO
BROCARD & Cie

NOWOŚĆ ○○○○○○○○○○ PERFUMY

Królowa Łabędzi

DELIKATNY, SUBTELNY I DŁUGOTRWAŁY ZAPACH

WYTWORNY PODAREK.



NAJLEPSZE PAPIERY FOTOGRAF.
Lenta, Atlas, N. P. G., Imperial, Alboidin, Celloid.
(prób. paczki darmo)
STEREOSKOPIY I OBRAZ.
Jen. repr. Akc. Twa „N. P. G.”
WAC. DZIERŻAWSKI
WARSZAWA, WIERZBOWA 2.

DARMO CENNIK
i op.
pap. fot.

Ubezpieczenia kapitałów, posagów, rent i jednostkowe od wypadków na dogodnych warunkach.

Kapitały: zakładowy i rezerwowo około **7,000,000** rb.

zalożone w 1882 roku.
„PRZEZORNOSC”
Pierwsze Krajowe

BIURO DYREKCJI:

WARSZAWA, MAZOWIECKA 22

Pałac L. Kronenberga.

Agentury we wszystkich miastach Królestwa i Cesarstwa.

Taryfy i prospekty na żądanie — bezpłatnie.

ZAKŁAD LECZNICZY

dla przychodzących z chorobami
ŻOŁADKA I KISZEK

D-ra Tadeusza Wilczyńskiego

Aleja Jerozolimska 35. * Telefon 282-25.

PRZYJĘCIA

od 9—10 rano, od 1—3 i od 6—7 po poł.

Tow. Akcyjne Handlowo-Przemysłowe

„Ł. J. Borkowski”

Zarząd Warszawa, Mazowiecka 11

Dąbrowa Gór., Łódź, Lublin, Częstochowa, Radom, Moskwa, Dźwińsk,

POLECA Z WŁASNYCH SKŁADÓW i z FABRYK:

żelazo handlowe, blachy żelazne, cynkowe, cynkowane, miedziane; belki żelazne, cement, węgiel i koks, rury żelazne, szyny, śruby, mutry, nity, łopaty stalowe, grabie, lemieszce i odkładnice, stal narzędziowa i zwykła, odlewy surowcowe, sprężyny do maszyn rolniczych (do grabi, kultywatorów i t. p.) beczki żelazne do nafty i spirytusu, kosy styryjskie i krajowe kosy do sieczkarni, osie, buksy, łańcuchy, gwoździe i drut, pasy do maszyn skórzane i z siersci wielbłądziej, kowadła, imadła wiertarki, tokarnie, pilniki, podkowy, huftale, pakunki wszelkiego rodzaju i t. p.

CENY HURTOWE. — CENNIKI NA ŻĄDANIE GRATIS.

Zakład Bronzowniczy R. WOLSKIEGO

Warszawa, Nowy-Świat 8. — Telefon 59-92.

Wykonują: Ozdoby salonowe i kościelne, Żyrandole, Lichtarze i Świeczniki, oraz wszelkie roboty bronzownicze, odlewnicze i t. p.

MEDAL SREBRNY Warszawa 1895 r.

Stanisław Szalay

Warszawa Chmielna 40.

Aparaty fotograficzne.

LATARNIE CZARNOKSIEŻKIE.

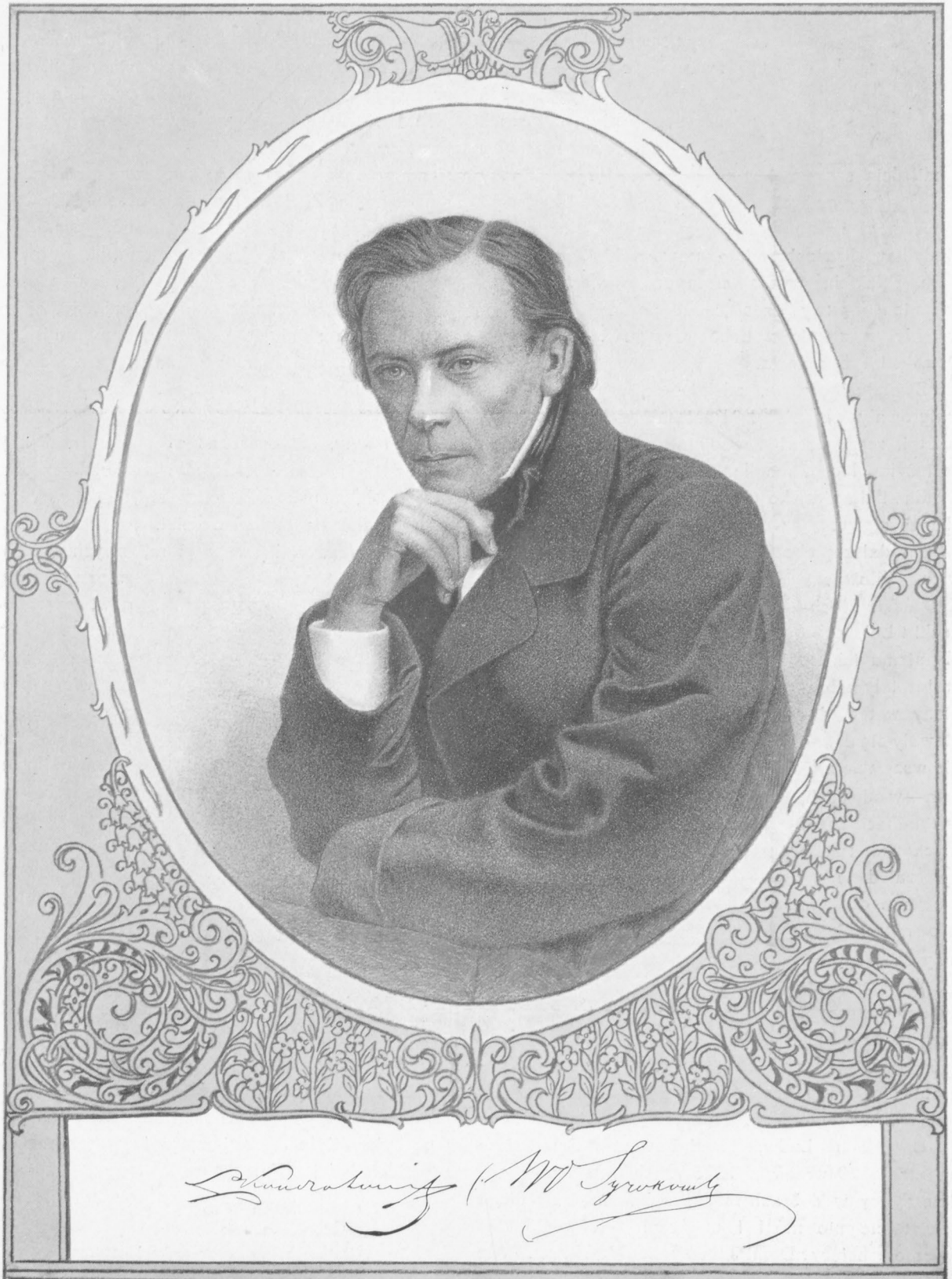
Pracownia przezroczysta.

HOTEL BRISTOL

w WARSZAWIE

250 pokoiów komfortowych, elektryczność, centralne ogrzewanie, windy systemu „OTIS”, telefony, pierwszorzędna restauracja etc. etc.

Wies' ilustrowana



Rocznica wioskowego pieśniarza.



eszcze jedna rocznica.

Rocznica zgonu poety, o którym, jak o tylu innych, zdążyło zapomnieć już społeczeństwo, choć przez całe, krótkie i smutne życie swoje niósł on współbraciom przędzę gorących uczuć, myśli i czystych twórczych natchnień z miłością szczerą i z nadzieją, że znajdą dłuższy i głośniejszy oddźwięk.

A mógł na to tem więcej liczyć, że w chwili, kiedy jego lira zabrzmiała, na szerokiej przestrzeni ziem polskich, trwała cisza grobowa, że zaległ na nich martwy czas żalu po nadziejach, co wsiąkły w ziemię z bohaterską krwią na polach Ostrołęki i Grochowa.

Żywiły gorętsze, zdolniejsze, czynniejsze wyemigrowały zagranicę. Pozostali w kraju wylękli, smutni, zropaczeni i obojętni. Na życiu naszym zaciężyła głucha, mogilna cisza.

Zamilkła nietylko pieśń, ale wszelkie prawie publiczne słowo.

Na dalszej obczyźnie pisali już wtedy: Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Moch-nacki i Lelewel—ale pisma ich do kraju miały wzbrowniony wstęp, dostawały się doń—nie wszystkie zresztą—w odpisach, w tomikach przemycanych, trafiając zaledwie tu i owdzie do serc i odrętwiałych umysłów.

W tym smutnym i martwym okresie zaczęła pisać i drukować swe utwory w kraju Ludwik Kondratowicz, podpisując je znanym odtąd w całej Polsce pseudonimem „Władysław Syrokomla“.

Urodził się Ludwik Kondratowicz w Smolikowie na Litwie 29 września 1823 r. Jako syn ubogiego dzierżawcy w dobrach magnackich, uczyć się długo i kształcić nie mógł i ukończył zaledwie 5 klas w szkole księży Dominikanów w Nieświeżu. Ale

wrodzona skłonność do nauki i gorące zamiłowanie do wiedzy, poprowadziły go mimo trudności jej zdobycia do szerokiego rozwoju umysłowego, do ścisłego i głębokiego zaznajomienia się, zwłaszcza z dziejami rodzinnego kraju.

Gorąca jego dusza wyrosła w bezpośrednim zetknięciu się z tą szarzyzną życia i doli, aż nazbyt często przepajanej łzami i przeplatanej cierpieniem, nastroiła najszlachetniejsze swe struny na współczucie dla bliźnich, na wrażenia piękna niesione przez ojczyzną przyrodę, na gorące ukochanie wszelkiego szlachetnego pierwiastku, co w przeszłości narodowej stał się i świecił czynem. A prztem była to dusza dziwnie prosta, dziwnie biała, dziwnie mało pragnąca dla siebie, pełna wielkiej dla drugich miłości, ukształtowana z jednolitej bryły, prawa, nie rozumiejąca żadnych kompromisów ani w uczuciach, ani w przekonaniach, wierna do grobu temu, co ukochała w zaraniu żywota.

Żył Syrokomla w niedostatku, nawet w biedzie, umarł młodo, nie doczekawszy się ani nad krajem, ani nad własnym życiem dni spokojniejszych, jaśniejszych, nie doczekawszy się nawet wyraźniejszego promienia jakiejś nadziei.

Nie sprzedawał swego pióra, swych zdolności, wierzeń, poglądów, przekonań nikomu. Pisał wedle sumienia. Wedle wiary prostej a głębokiej. Był rzecznikiem uciśnionych i pokrzywdzonych, nadużycia, pychę, głupotę, zaprzanie się ideałów piętnował śmiało.

Wierzył głęboko i korzył się przed Bogiem. Ale widział w Nim przedewszyst-

kiem Boga Miłości, Sędziego Sprawiedliwego, Wybawiciela maluczkich. Obłądy nie znośił, hierarchji ludzkich na niej wznoszonych nie uznawał. Wiarą jego była Miłość i ona jednoczyła w sobie w jego pojęciach ludzi i Najwyższą Istotę.

„Czy w moim sercu

„Uśmierzasz burze,

„Czy się objawiasz w pięknej naturze —



Pałac w Sójkach, pow. Kutnowski. Własność hr. Jana Moszyńskiego (fot. amat. pana Wiktora Reszke).



Sójki, pow. Kutnowski — własność Jana hr. Moszyńskiego. Widok z parku
(fol. amat. pana Wiktora Reszke).

„Wszędzie w Twą miłość ku światu wierzę,
„Boga i ludzi czytam przymierze!“

Oto jak myślał o Chrystusie:

„I jako człowiek w braterskim kole,
„Znosiłeś ludzkie dole niedole
„W ubogiej szacie, pieszo i boso
„Z chaty do chaty kroki Cię niosą —
„I pozdrawiałeś jednymi słowy
„Mędrcę, księżęta i lud wioskowy...“

Jak Kraszewski szlachtę, tak Syrokomla ukochał lud. Ale pisać do tego ludu i dla niego w czasach, kiedy żył, niepodobna było jeszcze... w chatkach, któżby go czytał? Więc zbliżył się do warstwy najbliższej tego ludu stojącej, okolicznościami i sposobem życia z nim prawie zrównanej, podobnie jak on cierpiącej, upośledzonej—do „szaraczków“.

Owa drobna, zagonowa szlachta, zwana „szaraczkami“, owi „bene nati“, których potem tak bardzo ukochała Eliza Orzeszkowa, stali mniej więcej na równym poziomie umysłowym z ludem, byli jednak właścicielami ziemi i trafiali się wśród nich nierzadko ludzie umiejący czytać. Dla nich zapragnął pracować Syrokomla.

„Dla ciebie śpiewam gminu szaraczkowy,
„O tobie śpiewam i z tobą zespółę
„Nadzieję, radość i smutki i bole,

„Gdzie chata słomą lub darnią pokryta,
„Serdeczny Litwin niech piosnkę przeczyta,
„A gdy swojaka dopatrzy się we mnie
„Zgrzeszyłbym, mówiąc, że śpiewał daremnie!“

Z natury rzeczy, z okoliczności i warunków życia, z którego wyrósł i w którym obracał się Syrokomla, lutnia jego pełna miłości i współczucia dla warstw upośledzonych, znajdowała dla wielmożów i bogatej szlachty, dla ludzi żyjących pod osłoną rodowych i własnościowych przywilejów, tylko tony twarde, nabrzmiałe wyrzutem, rozelkane często własnym żalem, często nawet zgrzytające ironją, chłostzące satyrą.

„Z jasnemi pany nie idzie tak składnie —
„Któż ich oblicze, ich serce odgadnie?
„Dla nich się książki w pozłocistych szatach
„Robią w Paryżu, w najlepszych warsztatach!
„Gdzież nam dościgać?

Nierówna gonitwa!

„Co inna Paryż, a co inna Litwa!
„Kogo zamorskie pachnidło przynęci
„Cóż mu aromat naszych sianozęci!“

A pachniała Syrokomli ta rodzona, ojczysta sianozęć! nęcił go jej aromat nieodpartym urokiem, pozwalając poecie zapominać o doli twardej, o smutkach i niedostatkach żywota, o codziennych przeciwnościach losu w ciężkiej walce o byt, o chleba powszedniego kawałek...

Nie zapominał jednak pieśniarz wiejskiego zagona nigdy o doli tych, których tak bardzo ukochał. Nie mogąc do ludu i dla ludu pisać, dołą jego znojną i ciężką zajmował się zawsze. Bolał go przedewszystkiem ustrój pańszczyźniany i wierząc w równość powszechną przed Bogiem, śmiało wołał o poprawę losu ludu, karciał jego poniewierkę, bezmyślność i okrucieństwo panów, nieuczynność ich, obojętność na cierpienia chłopskiej doli. Nie mógł może z wielu względów — w kraju pisząc i drukując swoje utwory, traktować sprawy zniesienia pańszczyzny tak otwarcie, jak to czynił np. Mickiewicz (XII księga „Pana Tadeusza“ — pisanego w Paryżu pomiędzy 1832—1834 rokiem!) ale znajdował dość zawsze silnych słów i akcentów dla potępienia tego społecznego przeżytku w ostrej i stanowczej formie.

Jest wśród wielu jego utworów mniejszych jeden dziwnie rzewny i prosty, dziwnie delikatny w formie, a uderzająco silny w akcencie dla tego właśnie, że nagana dla panów wychodzi w nim z ust ich dziecka, małej dziewczynki, która tak ze swą lalką (tytuł utworu też „Lalka“) rozmawia:

„Papa kocha swe konie, mama swego szpica,
„A chłopów każdy łaje, każdy kijem kropi,
„Doprawdy, że aż szkoda, skąd taka różnica!
„Niegrzeczni muszą być ci chłopci!..

„Oto wczora... gdy papa zasnął po obiedzie,
„Pytam się: czy to pięknie? i co za potrzeba!
„Weszli, zbrudzili pokój, krzyczą, jak niedźwiedzie:
„Chleba panoczku, daj chleba!

„Więc kazano ich obić... I słusznie obici.
„Już ja, kiedy dorosnę i mieć będę zboże,
„Póki się cała wioska chlebem nie nasyci,
„Nigdy się spać nie położę!

„Bo, proszę, jak tu zasnąć, kiedy naród błądy
„I do drzwi i do okien ciśnie się z pokorą,
„Nie nakarmić ich chlebem... — to przysną się dziady
„Jeszcze do torby zabiorą...

„Lub, co gorsza—w obrazku Pan Jezus się dowie,
„Co dla zgłodniałej rzeszy chleb i rybę łamie!
„Lalko! zmówmy pacierz o chleb i o zdrowie
„Chłopom i papie i mamie“!..

O ileż szczerzej, serdeczniej i głębiej brzmią te proste strofy tego wielkiego i prawdziwego przyjaciela ludu od różnych na modną „chłopską nutę“ w naszych czasach, już nawet z talentem szerszym pisanych, ale jedynie na efekt, na popularność, a nie na społeczny czyn obliczonych utworów!..

Syrokomla nie spekulował nigdy na swych ukochaniach. Nie obnosił swego patriotyzmu na szyld swej duszy, nie naklejał go jako etykiety na swoich pismach. Był też ten patriotyzm jak złoto szczere, nie jako „miedź brzękająca“, ni jako „cymbał brzmiały“.

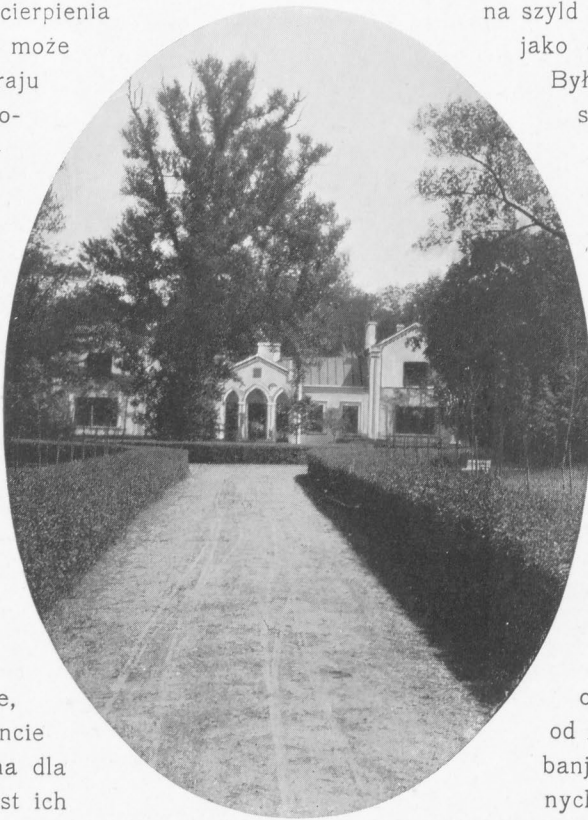
A że był Syrokomla naprawdę *pieśniarzem wioskowym*, jakiego po nim już drugiego nie stało— to dowodzi tego zakres jego pism, których kilkanaście tomów zostawił, choć umarł młodo, czterdziestu nawet lat nie dożywszy. Jest tam wieś litewska i obyczaj polski wioskowy we wszystkich odmianach swoich i kształtach. Jest cały wiejski świat od pałacu do kurnej chaty, od zaścianku do dworku, od plebanji do starego, u rozstaju polnych dróg, spróchniałego krzyża. Jego „Gawędy“ to perły liryki, przeplatane epickim nawet rozmachem, pełne wdzięku, poczi-

wości gołębiej, uczucia, prostoty serca!

Szlachta zagonowa litewska ma w jego dziełach pomnik trwały w literaturze. Jest nim poemat „Urodzony Jan Dęboróg“, tak popularny na Litwie i w Koronie, że jeszcze u schyłku zeszłego stulecia nie było chyba polskiego dworu, gdzieby go nie umiano na pamięć.

Cudowne też są jego stare legendy szlacheckie, np. znane „Stare Wrota“, „Zaścianek Podkowa“, „Hrabia na Wątorach“ i wiele innych. Wieje z nich jakaś stara pleśń pergaminów przechowywanych w modrzewiowej, żywiczną wonią przesyconej skrzyni — bije z nich wypełzły w czasie, ale jasny i czysty w kolorze blask starego złota z ryngrafów rycerskich i jedwabnych, ze słuckich pasów wyprutych, pajęczych nici...

Przebaczyła też Syrokomla dawno pocziwa w gruncie swych złotych serc, choć uparta często i czupurna nasza szlachta, cierpkie czasem pod



Sójki, pow. Kutnowski. Własność Jana hr. Moszyńskiego. — Wjazd (fot. amat. pana Wiktora Reszke).

swym adresem słowa, wiedząc a przedewszystkiem czując, że popłynęły one z czystej, pełnej i wielkiej miłości duszy...

Rychło śmierć przecięła słabą i szarą nić tego jasnego w duchu swym i chęciach życia. Czternaściego września 1862 roku Kondratowicz-Syrokomla zasnął na wieki w Wilnie, gdzie go też pochowano.

Z oddali minionych 50 lat od tej żałobnej daty na darń mogilną co przytuliła to szczere śpiewaka wsi polskiej serce, rzućmy myśl wdzięczną i wspominek serdeczny, z duchem bieżących czasów zwiążmy nić pragnień i ukochoń jego ducha, by w pamięci i czynach jasnym rozbłysła światłem...

S.

A liście lecą... lecą z drzew..

A liście lecą... lecą z drzew...
Purpurą, złotem, grają,
Czy marzeń to ostatni śpiew?
A liście lecą, lecą z drzew,
Za baśnią jakąś gnają...

A liście lecą, lecą z drzew,
Wiatr je po drogach miecie,
Mrok .. idzie jakiś cichy zew...
A liście lecą, lecą z drzew...
Konają śniąc o lecie...

A liście lecą, lecą z drzew...
Na dworze mgła, szaruga...
Śmiertelny, groźny idzie wiew...
Nadchodzi nocka długa...

WERA SKÓRKOWSKA.

Nad pustem polem.

Nad pustem polem
wiatr się unosi
i z cicha płacze...

Niesie tej ziemi
ból i tęsknoty,
skargi tułacze...

Ugory szare
mgła upowita
i ostre rżyska...

Zdała blask płonie
z ognisk pastuszych
i sennie błyska

Nad pustem polem
gwiazdy nie świecą
...dźdze tylko płaczą...

I rzewnie dzwonią
jękiem żałoby
głuchą rozpaczą...

Płyną tej ziemi
echa grobowe
i pożeganie...

To co zamarło,
co się prześniło,
co już nie wstanie.

E. SZYMBORSKI.

JESIENI CZAD...

...Jesieni czad
w srebrzystej koronie ze szronu.
A w płaczu drzew,
oczekujących dnia skonu;
A w wieńcu mgieł,
jak w dymie srebrzystych kadzideł.
Jak biały duch
w poszumie anielskich skrzydeł,
Jesieni czad,
co duszę do smętku niewoli,
Otula sny
przezroczą mgłą melancholji.
Wyłynął z przędz
pajęcznej naokół szarości —
I w sercu, w krwi:
w ogrodzie różanym gościł..

Jak władny król
za berła złotego skinieniem —
Z usnionych grzęd
pienie obudza za pieniem.

Iż ogród wkrąg —
w przezroczych muślinów oprzędzie —
Jak arfa gra,
melodją zapachów gędzie...

Korowód mar —
białawe umarłych dni cienie —
W gąszcz krwawych krzów,
pod wonnych róż wiedzie tchnienie...

Dziewczęcy kształt
z oddaleń czarownych wynurza:
I krwawi się
edenu płomienna róża!..

Pełźnie, jak wąż —
u nóg się owija kusząco!..

Rozpyła czar
muzyką niepokojącą!..

Aż w zmierzchów grób —
z szeptaniem żałosnych litanji,
Pograża się,
jak duch, w noc czarnych otchłani...

WŁADYSŁAW ZALEWSKI.



Pałac w Sójkach, pow. Kutnowski Własność Jana hr. Moszyńskiego
(fot. amat. pama Wiktora Reszke).

ERAZM S.

Szlachta zagonowa na Białej Rusi.

Z wszystkich ziem byłej Rzeczypospolitej, najwięcej po macoszemu przez naszą historję była i jest traktowana Biała Ruś. A jednak, Biała Ruś—to obszar obejmujący, co najmniej, dwie trzecie Litwy, jako jednostki politycznej, dawnego państwa Polskiego.

Północno-wschodnia część gub. Grodzieńskiej, cała prawie gub. Wileńska (bez pow. Trockiego i części zachodnich pow. Wileńskiego i Święciańskiego), cała Mińska, Mohylewska, dwie trzecie Witebskiej — oto obszar etnograficzny Białej Rusi, z przeszło dziesięć milionową ludnością.

Obszar ten wchodzący od czasów połączenia Korony z Litwą, a więc już od końca czternastego wieku w skład Rzeczypospolitej, podlegał przez pół tysiąca lat przeszło wpływom naszej kultury. Cała większa własność na tym obszarze formowała się pod wpływem społecznych i politycznych skutków Unji Lubelskiej. Czy to przychodzący z Korony, czy też spolszczeni przez więzy herbowe, rodzinne i t. d. ze szlachtą polską — tubylczy bojarowie litewsko-białoruscy, właściciele ziemscy na Litwie stworzyli brać ścisłą, związaną wspólnymi interesami z całą szlachtą polską.

Równolegle z większą własnością polską spotyka się na całej Białej Rusi, mniejszymi lub większymi oazami szlachtę zagonową. Polskie jej pochodzenie nie ulega wątpliwości. Po części posiada ona na to dowody, w postaci dyplomów zatwierdzających ją w szlacheństwie; — dyplomy niektóre są jeszcze z czasów polskich, inne późniejsze — rosyjskie.

Szlachta ta — to nic innego, jak szlachta, tak zwana szaraczkowa, spotykana również w Królestwie

Polskiem, szczególnie w gubernji Łomżyńskiej, gdzie stanowi ona dość duży odsetek (przeszło 6%) całej ludności.

O szlachcie zagonowej i jej pochodzeniu pisali bardzo dużo nasi historycy, między innymi prof. uniwersytetu krakowskiego, ś. p. Piekosiński i świeżo prof. O. Balcer, wyprowadzając ją od często wspomnianych w naszych średniowiecznych dokumentach władków lub ścierciałków (z łac. scartabelli) (Piekosiński). Pochodzenie jej jednak nie jest ostatecznie wyjaśnione.

Szlachta ta różni się od karmazynowej między innymi i tem jeszcze, że nie posiada i nie posiadała herbów.

Była to szlachta jakby niższego rodzaju, niż nasze ziemianstwo.

Zkąd się wzięła ona jednak na granicach Rzeczypospolitej i to w dość pokaźnej liczbie, kiedy w innych częściach Polski jej niema prawie zupełnie?..

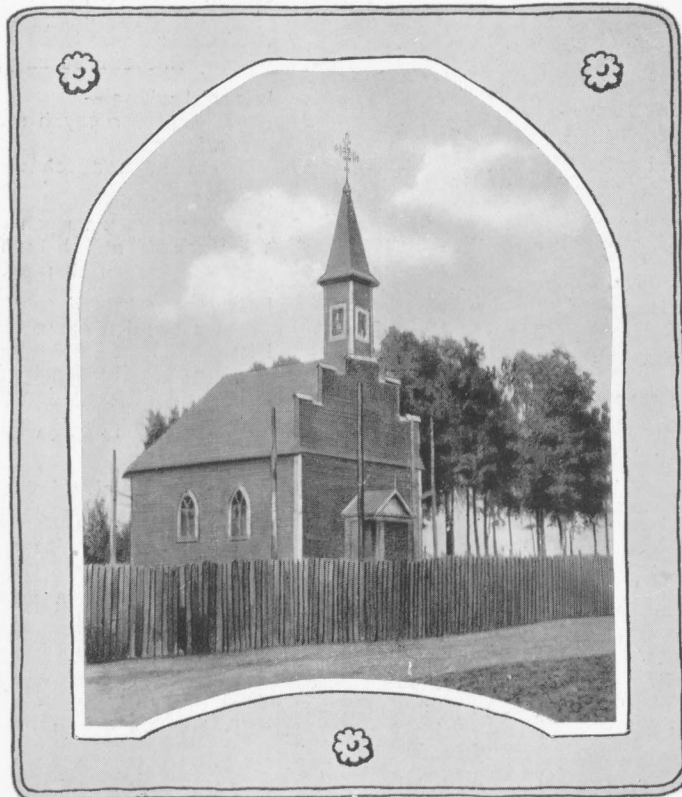
Istnieje w historii naszej najwięcej utarty pogląd, że szlachta ta została sprowadzona specjalnie do tej części Polski (gub. Łomżyńska), jeszcze przed połączeniem się naszym z Litwą, a więc

w XIII i XIV wiekach, dla stworzenia czegoś w rodzaju pogotowia wojennego dla obrony ówczesnych granic kraju od niespodziewanych, a tak pustoszących najazdów Jadźwingów i Prusaków.

Po połączeniu się Polski z Litwą, szlachta zagonowa z ziemi Łomżyńskiej i okolicznych, znalazła się w samym środku kraju i tym samym straciła znaczenie pogotowia wojennego.

Taka jest mniej więcej geneza szlachty zagonowej w Królestwie.

Zkąd się jednak wzięła ta szlachta na północno-wschodnich krańcach Rzeczypospolitej w województwach: Trockiem, Wileńskiem, Witebskiem, Mińskiem



Kościółek zaścianka „Zalesie“ (do art. p. Erazma S., fot. am.)

i Mohylowskiem? Można przypuszczać, że magnaci polscy i litewscy, otrzymując w lenno lub na własność olbrzymie obszary ziemi na Litwie lub Rusi, pokryte dziewiczymi lasami i zupełnie niezamieszkałe, sprowadzali z Polski siły robocze, któreby wzięły pod pług te bogate niwy.

Ponieważ w czasach kolonizacji (wiek XVII i XVIII) chłop polski nie mógł już przenosić się z miejsca na miejsce bez pozwolenia swego pana, jedynym materiałem kolonizacyjnym w Polsce na zaludnienie i wzięcie pod pług niw dziewiczych była szlachta zagonowa.

Szlachta owa, wobec prawa zupełnie wolna, znajdując się wskutek rozmnożenia (przy niepowiększającej się ilości ziemi w ich posiadaniu, bo wtedy sprzedaż ziemi w Polsce była rzadkiem zjawiskiem) w trudnym położeniu materialnym, prawdopodobnie dość chętnie brała by się do kolonizacji tych krain.

A może też Rzeczpospolita chciała sobie stworzyć na swych granicach coś w rodzaju nowego pogotowia wojennego i sama ułatwiała kolonizację na wschodnich swoich kresach? Nie można jednak o tem nic pewnego powiedzieć. Dokumenty, dotyczące kolonizacji wschodnich kresów Rzeczypospolitej, znajdują się prawdopodobnie w różnych archiwach prywatnych Litwy i Rusi. Bardzo dużo materiału, dotyczącego się zaludnienia tych krain znalazłoby się bezwątpienia w olbrzymim archiwum Ordynacji Radziwiłłowskiej w Nieświeżu.

Tak więc, historycznie biorąc, obecność polskiej

szlachty zagonowej, na całej wschodniej rubieży byłej Rzeczypospolitej, jest jeszcze niewyjaśniona.

Nie sposób jest ująć w jedne ramy byt całej szlachty zagonowej rozsiadłej na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej od granic Kurlandji, aż hen po Wołyń i Podole.

Znajdując się przez szereg pokoleń w różnych ekonomicznych i politycznych warunkach, szlachta

ta ulegała ich wpływowi do tego stopnia, że każda dzielnicą, a nawet często i pewne okolice danego kraju dają nam odrębny charakterystyczny typ szlachty osiadłej w nim.

Najmniej znajduje się śladów szlachty zagonowej na Podolu i Ukrainie. I nic dziwnego. Je-

żeli w tych dzielnicach przed burzą tatarską, turecką i hajdamacką nie mogły się ostać potężne rody magnackie, tem mniej miały danych do utrzymania się osady szlacheckie.

Były i tam próby stwarzania takich osad, powstawały one i ginęły bez śladu w huraganach, które tak często nawiedzały te dzielnice. Inaczej było na Litwie i na Białej Rusi.

Pod osłoną potężnych Radziwiłłów po-

stawały coraz liczniejsze wsie, osady i miasteczka. Ciekawe niezwykle byłyby dzieje tych osad szlacheckich od czasu ich założenia, aż po dzień dzisiejszy... Jak grupy te polskie pozbawione styczności ze współrodakami, otoczone morzem białoruskiem, potrafiły utrzymać swoją odrębność etniczną—pozostanie dla nas zagadką. Faktem jest, że na krańcach gub. Mińskiej, tuż pod Mohylewską, znajdujemy szereg osad szlachty zagonowej, posiadającej świa-



1. Kobiety ze szlachty zagonowej gub. Mińskiej.
2. Seniorowie zaścianka szlacheckiego w gub. Mińskiej.
(do art. p. Erazma S., fot. am.)

domość swego pochodzenia. Krańce te, to powiaty Bobrujski i Ihumeński, gub. Mińskiej.

Powiaty wyżej wymienione są pokryte w większej swej części ogromnymi lasami. Lasy te należą w części do kilku polskich fortun; są tu pozatem duże lasy rządowe i Wielkich Książąt rosyjskich. Tem samym dwory obywatelskie, te jedyne ośrodki kultury, są tu bardzo rzadkie. Ludność miejscową stanowią Białorusini prawosławni, stojący na dość niskim stopniu kultury. Procent analfabetów ogromny, pijaństwo straszne.

Wsie białoruskie, razem z należącym do nich gruntem, leżą rozrzucone w pojedynkę lub po kilka razem pośród lasów.

Jedyna kolej Libawo-Romeńska przechodzi przez te powiaty mniej więcej tam, gdzie się one stykają z sobą.

Dróg bitych prawie niema; zwykle drogi pełne grobli, wybojów, błot i zepsutych mostów — straszne do przebycia. W pewnej mierze jako środki komunikacji służy Berezyna i przepływy jej: Swisłocz, Olsa — nie mi spławiają okoliczni mieszkańcy zakupiony przez kupców żydowskich las.

Wśród takich warunków ekonomicznych i kulturalnych, znajduje się od szeregu pokoleń szlachta zagonowa. Ze względu na stan kultury, można ją podzielić na dwie grupy — dzierżawców i właścicieli.

Szlachta zagonowa, dzierżawcy — to najmniej kulturalni przedstawiciele naszego narodu w tych stronach. Niepewność jutra — bo wszak nie zawsze mogli być pewni odnowienia dzierżawy, odbiła się na ich kulturze — żyją z dnia na dzień.

Zdaleka, wieś takiej szlachty prawie niczem nie różni się od wsi białoruskiej — takie same niepozielone, często chylące się ku upadkowi, kryte słomą lub deskami chaty, taki sam sposób zabudowania wsi; domy mieszkalne rzędem po obu stronach drogi; brak zupełny zadrzewienia podwórza.

Podjeżdżamy do jednej takiej wsi... Na ulicy gromada dzieci brudnych, ale o innym typie, niż miejscowy — białoruski... Z chat wychodzą kobiety ubrane nawpół z miejska — bluzki i spódnice, jakie nosi nasz lud w okolicy Warszawy, głowy gołe bez chustek — typy zupełnie polskie...

Zagaduję do nich... mówią po polsku, łamanym jednak językiem... skarżą się, że mają tak daleko do kolei i do miasta, nie sposób nic kupić w sklepie porządnym, wszystko trzeba brać od żyda z pobliskiej wsi (białoruskiej), jemu też wszystko sprzedawać, więc nakłada ceny, jakie chce. — Oj zbgacił się on naszą krwawicą — mówią...

Pytam o kościół, księdza...

Od powstania nie mieli księdza, więc jeździli często po kilkadziesiąt wiorst dla odbywania ślubów i chrzcina. Dopiero od lat piętnastu pozwolono księdzu przebywać w pobliskim miasteczku — Swisłoczy, o dwadzieścia wiorst stąd, — mówią, — ale to się liczy już blisko; dzięki Bogu, że i tak jest...

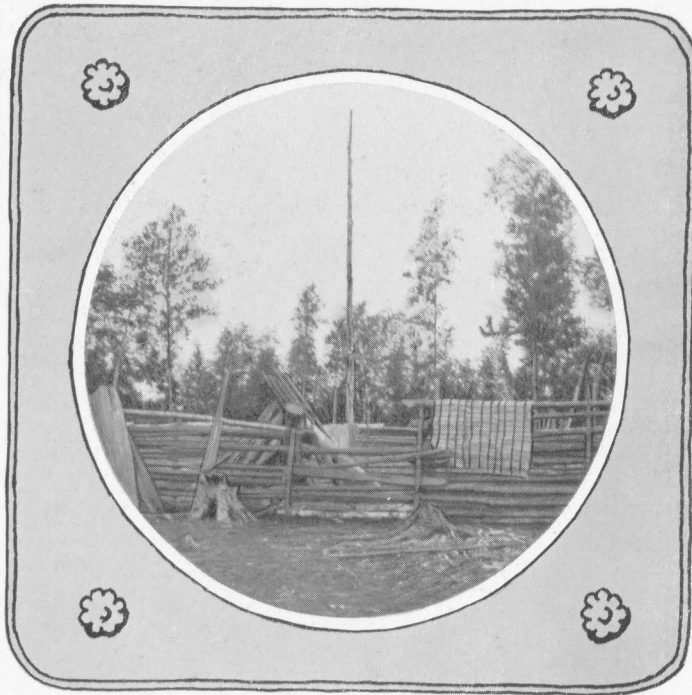
Dwa lata temu postawili kościółek drewniany przy swojej wsi. Dojeżdża doń ksiądz ze Swisłoczy raz na miesiąc... częściej nie może, bo ma parafje na sto wiorst długą i tyleż szeroką, a drogi, pozał się Boże...

Zaglądam do chat — proste sprzęty: stoły, ławy, na łózkach dużo pościeli... wogóle sprzęty chłopskie, ale czystość o wiele większa, niż u Białorusów.

Na ścianach dużo obrazów świętych i w każdej chacie choć jeden wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej. Pod obrazami na stoliku drewnianym książki do nabożeństwa... niektóre stare bardzo, inne nowe, niedawno kupione widać...

W chatach gospodynie bardzo uprzejme; proszą siadać, pytają czym nie głodny — chcą zastawić jedzenie, ledwie się można wymówić... znać w oczach kobiet zakłopotanie, jakby wstydziły się swej biedy, tłómaczą się...

— Tu tak trudno wyżyć, dzierżawę podwyż-



Zagroda białoruska (do art. p. Erazma S., fot. am.)

szają... niezawsze urodzaj... dawniej lepsze były czasy... my, panie szlachta..!

Jakaś дума brzmi w głosie przy wymawianiu słowa „szlachta“... a trzeba wiedzieć, że w tych okolicach słowo szlachcic jest synonimem Polaka średnio zamożnego. Pan — to Polak, duży właściciel ziemski. Chłop — to miejscowy białorus. „Ruski“ — to właściciel ziemski, rosjanin. Kolonistów zaś starowierców — miejscowa ludność nazywa k a c a p a m i... Charakterystyczne są te nazwy z punktu widzenia historycznego.

Nareszcie zjeżdżają z pola mężczyźni... twarze ogorzałe, wielu nosi brody nawet, ale typy takie nasze, polskie. Ubrani z miejska, w marynarkach.

Poznajemy się. Co za nazwiska! już one dają świadectwo pochodzenia tych ludzi... Sami Piotrowscy, Korzeniewscy, Kuczyńscy, Szpilewscy, Zmaczyńscy i t. d. Jest między nimi Szwarz... za interesowało mnie to nazwisko, pytam—kto, z kąd...

— Ja, panie, szlachcic... zdawna tutaj i mój ojciec, dziad... my Polacy... tylko my z Niemców polskich.

Nie mógł określić dokładniej, co znaczy „z Niemców polskich...“ — niby z tych, co się uważali za Polaków — tłumaczył, ale ze szlachty niemieckiej.

Chciałem zobaczyć jego papiery, niestety po za dyplomem rosyjskim nie posiadał nic — a i ten był we włości, objaśniał mnie.

Może to potomek szlachty pruskiej, co kochała Polskę, jak własną matkę... Byli tacy! Jednych nazwisko przeszło do historii, jak Kalksteinów... choć miłość do Polski opłacili wygnaniem...

Pytam innych — z kąd.

— My z Mińskiej gubernji, dzierżawim oddawna. Kilku otrzymało prawo wykupienia ziemi dzierżawnej na własność, siedzieli na niej bowiem przeszło trzydzieści lat — inni kupili ziemię na własność o dziesięć wiorst od zaścianka, od swojego dziedzica... kupili po dziesięć, dwadzieścia, a nawet trzydzieści dziesięcin. Mieli uciułanych przez kilkadziesiąt lat po kilkaset rubli... dali zadatek—a resztę

da bank, włościański może bo choć my szlachta, ale małorolni; jak nie, to może inny bank da; może sami wypłacim — pocieszają się.

Do nich przyłączyło się kilka rodzin zamożniejszych, co własny grunt sprzedali, więc mieli więcej grosza. Ci kupowali już kolonje po czterdzieści, a nawet pięćdziesiąt dziesięcin. Razem szlachta kupiła w jednym kawale przeszło czterysta dziesięcin i siedlę się kolonjami—okolicą, jak mówią.

Ziemia dobra, ale po wyciętym lesie, więc praca ciężka... trzeba krzaki rąbać, pnie karczować... wszystko to układać na ziemi i palić, a potem dopiero orać, często i orać jeszcze

nie można, bo korzenie za gęsto siedzą w ziemi, więc trzeba ją motyką obrabiać — żmudna praca, ciężka, ale oni się jej nie boją.

— Napracujem się, aż kości bołą, ale ziemię wypłacim i będzie nareszcie naszą...

Znowu ta polska miłość kawałka zagona, ta chęć zdobycia go za cenę choćby krwi własnej i potu... Jeśli samemu na to siły nie starczy, to może choć „dzieciska“ będą miały po kawałku własnej ziemi, bo pasieka (ziemia po wyrąbanym lesie



1. Szlachta zagonowa w gub. Mińskiej.
2. Grupa dzieci drobnej szlachty.
(do art. p. Erazma S., fot. am.)

do karczowania), to zjada człowiekowi siły nie bylejakie...

I to mówi szlachcic, potomek tych, co tylko na mieczu opierali swoje dziedzictwo! Ale czasy zmieniły się, szlachcic miecz na lemiesz zamienił i nim walczy o jutro!.. Została mu tylko ta nieustraszość zwycięzców z pod Wiednia i Kirholmu... Jak wtedy z wrogiem, tak teraz walczy on o byt swój. Małe ma środki, ale wiarę w swą pracę ogromną... więc zwyciężyć musi!..

Na drugim końcu zaścianka wesele, podjeżdżamy więc tam... Przed domem, muzyka na dziedzińcu... klarnet, skrzypce i cymbały— uderzył mnie ten instrument w oczy, przypomniał mi się Pan Tadeusz... tylko, że tu cymbalistą był nie żyd, ale młody szlachcic z zaścianka okolicznego...

Państwa młodych nie było w domu, pojechali właśnie do kościoła, do oddalonego o dwadzieścia wiorst miasteczka Swistoczy. Przed wieczorem mają wrócić. Że jednak kościół daleko, a pora gorąca, więc nie chciano męczyć koni i cały prawie orszak pozostał, rozglądam się po nim... — młodzież — zupełnie polskie typy, ubrani z miejska — nikt by ich nie odróżnił od ludności z okolicy Warszawy, przeciwnie, powiem, że tutejsza szlachta przedstawia się dorodniej — typy więcej wielkopolskie. Zdejmujemy parę grup.

Oddzielnie grupa kolonistów, to jest tych, którzy założyli nową „okolicę“ w pasiece, oddzielnie grupa kobiet i grupa dzieci.

Zdejmujemy też orszak weselny z muzykantami pośrodku, w braku państwa młodych. Na tle domu w którym się odbywa wesele, zdejmujemy jeszcze grupę seniorów wsi — kilka typów iście patryarchalnych.

Jakoś państwo młodzi nie przyjeżdżają, zaczyna się ściemniać, trzeba wracać... Po drodze zdejmujemy

jeszcze kościołek, postawiony własną pracą zaścianka... Pytam, jak długo budowali go.

— Oj, ze trzy lata; drzewo dał dziedzic... my sami je wozili i obrabiali. Często w gorący czas, w same żniwa nawet woziliśmy kamienie pod fundamenty. Długo szła robota; czasem nam ręce aż mdlały ze znużenia, ale jakoś Bóg pomógł... i stoi ten kościołek na Jego chwałę...

....
Jadąc z zaścianka spotkałem inwentarz szlachecki, wracający ze wspólnego pastwiska. Konie—

mierzyny, ale dobrze utrzymane... krowy niewielkie, lecz w dobrym stanie, rzuca się w oczy duża ilość nierogacizny. Pytam pastuchów, ile wypada inwentarza na rodzinę.

— Różnie, kilka rodzin ma tylko po jednym koniu i po trzy lub cztery krowy, do tego po kilka świń. Naj-

więcej jest takich rodzin, co mają po parze koni i do dziesięciu krów, a jest i dwu takich, co mają po trzy konie i do piętnastu krów... Ci to bogaci, właśnie jeden dziś żeni syna...

Od pastucha dowiedziałem się też, jaka jest tu gospodarka rolna.

Jest tu wszędzie trzypółówka z niepodsiwanym ugorem, choć znają koniczynę i dużo jej sieją.

Ziemię mają w kilku kawałkach w szachownicy, tak się sami podzielili — żeby była sprawiedliwość, jak dowodzili, każdy ma trochę gorszej, trochę lepszej ziemi...

Pastwiska dzierżawią w lasach „pańskich“.

Wogóle w urządzeniach rolnych tutejszej szlachty daje się zauważyć dużo zabytków rodowego władania ziemią. Rozumieją jednak braki tego rodzaju gospodarstwa i kupując ziemię na własność, osiedlają się kolonjami...

....
Skorzystałem z bliskości pasieki, tej przyszej „okolicy“ szlacheckiej—i pojechałem tam nazajutrz. O jakie dziesięć wiorst od zaścianka znajduje



Orszak weselny z muzyką (do art. p. Erazma S., fot. am.)

się ogromna pasieka — coś około 600 dziesięcin, otoczona lasami. Tu właśnie szlachta zakłada swoje kolonje.

Żyd las już wywiózł, jednak zostało tu tyle krzaków, pni i gałęzi, że nie sposób się zorjentować w tej wyciętej puszczy. Drogi nowe, które dopiero trzeba torować — wręcz nie do przebycia. Konie stawały ze zmęczenia.

Nareszcie dotarłem do zagrody, a właściwie miejsca, gdzie ma się ona znajdować — obecnie przedstawia się ona jako kawałek gruntu, ogrodzony żerdziami z szałasem z desek w pośrodku. Na noc spędza się cały dobytek do ogrodzenia, pod obronę psów, bo choć złodzieje na bydło tu się nie zdarzają, zato wilki grasują wszędzie i dużo szkody wyrządzają w inwentarzu. W dzień pasie

się inwentarz koło zagrody, sam wyszukując sobie miejsc, gdzie trawa bujniejsza...

Widok tej „zagrody“ przypomina żywo powieści z życia osadników amerykańskich — do zupełnego podobieństwa brak tylko czerwonoskórych.

Charakterystyczną „zagrodę“ uwiecznia fotografja. Ktoby się spodziewał, że w Europie istnieje jeszcze taki typ osadnictwa...

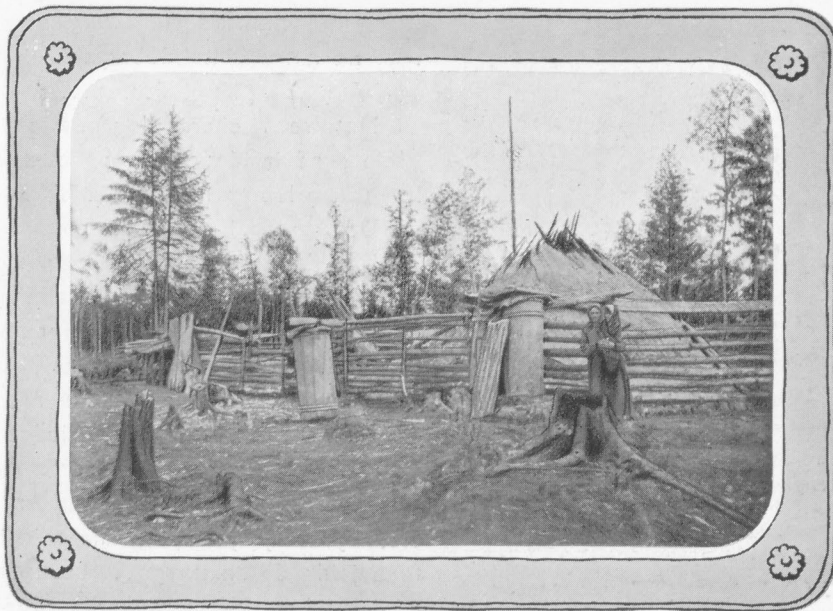
Oto mniej więcej byt szlachty zagonowej na wschodnich krańcach byłej Rzeczypospolitej. Zaścian-

ków takich jest dużo, w promieniu dziesięciu wiorst naliczyłem ich ośm — są okolice, gdzie szlachta jeszcze liczniej osiadła. Jednak ubywa jej.

Właściciele ziemscy po większej części nie odnawiają kontraktów dzierżawczych, lecz przemieniają zaścianki na fermy, obsadzając je swoją służbą.

Część byłych dzierżawców, mających trochę gotówki, kupują sobie kolonje. Ci zostają. Inni... biedniejsi rozpraszają się, no i tego elementu tym

samym wciąż ubywa. A szkoda! Są oni, jak na warunki ekonomiczne, dość kulturalni. Zdarzają się wśród nich jednostki, i to nie rzadko, umiejące czytać i pisać po polsku i po rosyjsku, interesujące się, jak postępem wszkolnictwie, tak i tem, co się na świecie dzieje. W paru chatkach znalazłem



Zagroda kolonisty w „pasiece“ (do art. p. Erazma S., fot. am.)

pisma codzienne wileńskie. Starsi są przytem więcej zaniedbani w kulturze, niż młodszy pokolenie umie modlić się na książce, starsi zaś nawet pacierza pozapominali — tłumaczyć to można trudną walką o byt, którą ostatni byli pochłonięci w zupełności.

Inaczej przedstawiają się „okolice“ szlachty na własnym zagonie. U nich znać naszą kulturę, widzi się postęp we wszystkim, co pomaga do podniesienia dobrobytu — a więc zastosowanie ulepszeń w rolnictwie, kształcenie dzieci i t. d.

O tej szlachcie jednak napiszę oddzielnie.

WYSŁUCHAJ.

Każesz mi strofę wpisać do sztambucha,
W której by śmiech mój uderzał w ton głuchy,
Radość, dziewczyno, to rzecz nader krucha,
Wobec płomiennej uczuć zawieruchy...

Każesz mi śmiać się wiośnianemi usty; —
Mogę to spełnić gwoli twej chimery,
I cóż ci z tego, gdy dźwięk zadrzy pusty,
Nie wsparty wiarą w promień ducha szczerzy.

Raczej ja szaleć będę, o dziewczyno!
U stóp twych klękne, jak paż bladolicy;

Lecz niechże ujrzę twe łyzy, które spłyną
Wraz z szeptem wyznać cudu-tajemnicy...

Powiedz, aniele, wypieszczoną mową,
Czy w białym łonie tli promyk w iskieierce...
A ja ci lirę nastroję godową
I do pieszczoty rozbudzę ci serce!...

Jeno mi nie każ wpisywać do księgi
Zwrotek, dźwięczących pustoty odbiciem, —
Raczej wysłuchaj najświętszej przysięgi,
Co z życiem błyska i gaśnie wraz z życiem!

STANISŁAW ŻYKOWSKI.



Humańszczyzna. Krzyże na stepie
(fot. am. Marjana Nowowiejskiego).

DESZCZ.

Rozelkała się smutna ziemia wołyńska...
Na zasnutę lotną, tęczobarwną pajęczyną ugo-
ry, spadł deszcz, unosząc delikatne marze-
nia jesieni na szarych, smutnych potokach...

Blaski zagasły... ugor posmutniał, tylko ciche,
monotonne strugi, zalewają zczerniałe ściernisko
i czarno-fioletową rolę, gotową do przyjęcia rodnego,
złotego ziarna...

Rezygnacja...

Rezygnacja, jak powiew płynie nad ziemią i za-
biera w swą moc, nietylko rozmodlone, dumne to —
pole, jakby zastygłe w jakiejś śmiertelnej trwodze,
jeszcze zielone a już w pół martwe w potokach
smutnego, monotonnego deszczu, szarego jak życie
biedaka — ale jak anioł smutku przepływa nad
młodą runią wzeszłego żyta, i szepce mu jakieś
zaklęcia czy pacierz, bo dziwnie tęskny jest ten
młodzieńczy, ozimy łan...

Rezygnacja... O martwym, bezbarwnym a cicho
gasnącym zachodzie idzie polną drogą, między czarną
zoraną skibą, do brunatnego łona, gdzie czernieją
jeszcze buntownicze główki czerwonej koniczyny
i dobrotliwe martwiejące dłonie śmierci kładzie ci-
cho na ostatnich, hardych potomkach złotego lata...

Gasnące boleśnie życie.

Deszcz przyćmiewa cały zachwyty polskiej pysz-
nej jesieni, cud rzucający po królewsku barwy rę-
ką szczodrobliwą i władną.

I nie wdzięczy się w rozłogu nad strumieniem
królowna Kalina, wśród łoż złotych i krwawo-
czerwonych, przodująca radośnie dworowi swemu,
nie śmieje się bogata pani Jarzębina, strojna w klej-
noty i rada swej urodzie i słońcu...

Ani drzewa bukowe nie krzyczą jaskrawą czer-
wienią, ni liście bluszczu dzikiego, jak wino ciemno-
czerwone, nie kładzie swych sztywnych ciemnych
liści na astry biało-srebrzyste.

Wszystko pokrył deszcz...

Matowe i chore, legendowe bogactwo jesieni,
liście spadają blade i zrezygnowanie smutne na mo-
krą trawę lub w błotniste, lepkie kałuże.

Deszcz... Smutek...

Rozelkała się tęskna ziemia wołyńska...

Wyboistą wąską drogą, jadą wolno szare pary
chłopskie, wioząc buraki do cukrowni, wszystkie
rozpaczliwie jednakowe, szare, bezbarwne idące
noga za nogą, ciągną się długim... długim łańcu-
chem, małe koniki, chude, biedne ciągną z wysił-
kiem codziennie o jednej porze ciężar nad siły...
i to trwa bez końca... O chmurnym, szarym świc-
cie, wyruszają jak przeznaczenie i w męce mono-
tonnej idą do smutnego... beznadziejnego kresu...
a nad polem, gdzie rozsiadły się buraki cukrowe,
codziennie kilkadziesiąt mogił zielonych o zachodzie
powstaje i tylko przez noc coś marzą na ziemi
cichej... dzień zabiera te mogiły i niesie o jednej
porze do wielkiej, czerwonej fabryki...

Nad cichem, szarem polem płyną stada wron,
kołując przy gruszach samotnych i krzyżach rozstaj-
nych, i kracząc płyną do olszynki... czasem na
polu zasiądą na wiec i spory toczą się, a narady
na tłustych czarnych skibach, lub na ściernisku
gryki czerwonej, zda się wtedy, że brodzą we krwi,
gdy o zachodzie przez ołowiane chmury padnie je-
den jedyny promień umierającego, krwawego słońca,
wtedy ściernie czerwieni się i jakby grozi światu za
mękę opuszczenia... płonie ponuro...

A tęsknota zbliżającej się śmierci, zimy, płynie
przez pola... szare chmury gonią się w szalonym
pościgu i płaczą, beznadziejnie smętnymi łzami
deszczu...

I smutny jest wiatrak stary na wzniesieniu przy
wsi, jak strażnik stojący od szeregu lat, aż zielo-
nym mchem porosły ze starości, i karczma przy
połamanym, nigdy nie naprawianym moście, brudna
i nędzna patrzy smutnie małymi okienkami na bło-
tnistą, ciągnącą się hen, daleko drogę...

Legła tęsknota i krew wysysa...

Nawet bydło wracające porykuje żałośnie i pastuszek okryty workiem starym nie gra na fujarce, tylko milcząc zagania cielecia, topiąc bosc nożyny w kałużach grzęzkich...

Deszcze... tęsknota...

I mała gęsiarka, jak szara grudka ziemi, wznosi niebieskie oczęta do zachmurzonego nieba, i głupi chłopak, błędzący jakoś żałośliwie po wsi wzdycha więcej, niż zwykle...

Ludzie idą od stodoły, z kurzu młódky jakby zimowej, bo pod dachem, skuleni i milczący, i zwolna pod zachód zapalają się światła niepewne

w chatach, tylko gdzieś błyska większy ogień, tam pieką złoty, żytyni chleb z nowego zboża...

Ogrody warzywne ogołoczone zamakają, tylko gdzieś niedość wśród sinawej kapusty, jak wspomnienie niedość przepychu, leżą jak uosobienie nudy wielkie, blade-żółte banie...

Smutek.

Przed starym, wpadniętym w ziemię dworem, majestatyczne świerki ściemniały i na tle nieba ołowianego są niby symbol milczącego nieszczęścia i duszy, stare beznadziejne świerki, obłąkane jakieś jasnym rankiem, a potem pokutujące żałośnie przez szeregi długich... smutnych lat...

Świerk, pan dumny tyle on pamięta... tyle dni... Zna jesienie tak pyszne, jak barwny turecki szal jedwabny, zna takie wiosny, gdzie konwalje płakały jasnymi kielichami w rozkochane jasne noce... zna lata parne i bogate i słowa miłosnych

zakłęb jak pieczęcie niezłomne, niezłamane, i spojzenia oszalałe z zachwyty i ciche mowy o kochaniu, i rozłąki... i smutne pożegnania i jakieś narażdy, po których tylko nie szedł ten, kto starość czuł

blisko, blisko, a potem niepokoję widział i oczekiwanie nadaremne i żalobę smutną i nigdy nieumorzoną i takie smutne jesienie... zna obłąkanie marzeń cichych i modli się wciąż do nieba ołowianego.

Przez okna starego dworu, widać aleję lipową tonącą w powodzi deszczowej i jabłonie, gnące się i splatające się w jakimś tragicznym uścisku.

Rozelkała się jesień smutna.

W starym, niskim salonie cienie obiegły kąty, trwożnie jakoś, a pewnie zarazem, to ich czas...

W taki dzień myśli się najlepiej i wspomnienia ze srebrnej szkatuły wychodzą i zbierają się, trzymając się za ręce w długim korowodzie...

Tu zatrzymują się...

Cienie idą przez wyfroterowaną starrannie posadzkę cicho, płynnie... zbliżają się do starego fortepianu orzechowego z pożółkłą klawiaturą, siadają na fotelach, adamaszkami amarantowym krytych i od garnituru, pysznącego się swym majestatem, idą w mroczną część sali...

Wspomnienia...

Najciemniej jest przy erwantce ma-

honiowej z bufowaną amarantową materją, tam stoi sztywna włosieniowa kanapa, stół okrągły czeczotowy i ukratkowany ciemnym drzewem, i obok sekretarzyk mahoniowy z bronzami... tam gromadzi



Widok na pola z parku w Ostapkowcach — na polach deszcz i mgły...



Widok na Ostapkowce z drugiego brzegu Smotrycza — przez jesienną firankę mgły...



Po deszczu. Widok z ogrodu w Kroczyce (fot. p. Józefowej Czarnowskiej).

się przy kominku i starym sewrskim zegarze... cały świat inny... inny...

Tam, przy zapalonych świecach nawet cienie wspomnień idą... i zda się, że za chwilę zaludni się cały salon tym najpiękniejszym światem, co umarł dawno... dawno... A gdy deszcz o szyby dzwoni i mroki zalegną, to za białą muslinową kry-

mówią starzy gospodarze... Więc smutek idzie jak wiew cementarny i nie cieszy nic, bo deszcz nawiewa złe myśli i ból... ale ruń młoda wschodzi i w słotny, dżdżysty czas i bez słońca rośnie, czeka... wiosny. Smutek zaległ dusze...

Rozelkała się tęskna ziemia wołyńska.

WERA SKÓRKOWSKA.

Z CYKLU:

„MELODJE JESIENNE”

W LISTOPADZIE.

Zimno... Deszcz mżyć poczyna... Wiatr z północnej strony wionął wkoło i zerwał z kaliny wysokiej ostatnie liście żółtkie i zepchnął w potoki mętnej wody... Dąb jeno nie ugiął korony... Szaro, smutno... Po niebie pełzają obłoki i blade na horyzont rzucają welony... Krwawe słońce lękliwie chowa krąg czerwony... Snuje się upiór nudy senny, bladooki... Hen, na pola i łąki mgła siwa opada i leniwie się toczy po błoni szerokiej... Las się skarży żałośnie i o nędzy gada... Dookoła tęsknica, smęt i ślizgłe mroki... Zakrakała gdzieś kruków ponura gromada. Snuje się upiór nudy senny, bladooki ..

SZARY DZIEŃ.

Dzień taki dzisiaj ponury, szary, wprost żyć się nie chce, tak źle i smutno. Deszcz mży od rana, wkrąg mgieł opary, dzień taki dzisiaj ponury, szary...

Drzewa zwiesiły mokre konary,
jakby przygięte dłonią okrutną—
dzień taki dzisiaj ponury, szary,
wprost żyć się nie chce, tak źle i smutno...

REMIGIUSZ KWIATKOWSKI.



Przeciera się pod zachód..., gub. Grodzieńska (fot. L. Jurewicz).

WŁAD. JASTRZ. ZALEWSKI.

CIEN.

OPOWIADANIE.

Czy wierzycie w „duchy“? Nie? Mimo to posłuchajcie historii, której byłem żywym świadkiem.

Mój przyjaciel Eustachy L. stary kawaler, jest właścicielem ziemskim w Kaliskiem. Będąc w lecie w Warszawie, zaprosił mnie do siebie na rzadkie już dziś, prawdziwie węgierskie wino, a ponieważ z braku czasu nie przyjeżdżałem, ponawiał uprzejme zaproszenie kilkakrotnie listownie. Ostatecznie postanowiłem pojechać z końcem października, lecz nieprzewidziany wypadek — choroba mej siostry — stanęła znów na przeszkodzie, tak iż zdążyłem dopiero dotrzymać danego słowa w pierwszych dniach listopada. Nie telegrafowałem ze stacji o konie, lecz chcąc przyjacielowi zrobić niespodziankę, zająłem najętą furmanką, już prawie pod wieczór, przed dwór w Osmolicy.

Na moje przywitanie wyszedł Eustachy, lecz jakże inny, niż zawsze! Postarzały, zmieniony, jakby nie ten dawny, zawsze pełen siły i energii.

— Co tobie, czyś chory? — spytałem.

— Nie, zdrow jestem... — odparł, ściskając mnie serdecznie.

— Może przyjeżdżam nie w porę? Witasz mnie tak dziwnie... Masz jakie zmartwienie?

— Nie, nie — zaprzeczał, nie puszczając mnie z uścisku.

— Może... masz jaką wizytę?

Tylko dziwne spojrzenie było odpowiedzią na me ostatnie pytanie.

— Chodź do pokoju — poprosił.

Za małą chwilę siedzieliśmy już przy suto zastawionym stole. Nie brakło oczywiście i owego wybornego węgryna, rozwiązującego język i roz-

grzewającego krew i fantazję. Ale gospodarz był wciąż dziwnie osowiały. Drażniło mnie to niewymownie, gdyż nasuwało wciąż przypuszczenie, że moja niespodziewana wizyta popsuka mu jakieś szyki i humor.

— Słuchaj Eustachy — rzekłem, znamy się już tyle lat. Bądź ze mną szczery. Tobie coś jest. Niewiem, może moja wizyta...

— Dajże pokój — zaprzeczył gorąco — mówiłem, że tak nie jest.

— Więc co, powiedz! — prosiłem.

— Mam być zupełnie szczery, to wolałbym, abyś przyjechał... w październiku, a nie teraz...

— Nareszcie! — zawołałem — trzeba mi to było przed chwilą powiedzieć! Zrobiłbym od razu obrót w tył i jazda z powrotem!

— Cóż ty wygadujesz — oburzył się — ładne masz pojęcie o mojej gościnności. Powiedziałem: „wolałbym“, ale skoro już jesteś...

— Nie mogłem wcześniej, pisałem ci przecie...

— Wiem, wiem. Wierz mi — dodał, patrząc serdecznie, jesteś mi najmilszym gościem, ale...

To niedokończone zdanie, to „ale“, dało mi dużo do myślenia. I już chciałem natrzeć na niego z obcesowem żądaniem wyjaśnienia, gdy uderzyło mnie jego spojrzenie jakby błagające, aby nie mówić teraz o tem. Spętało mi to usta — zamilkłem.

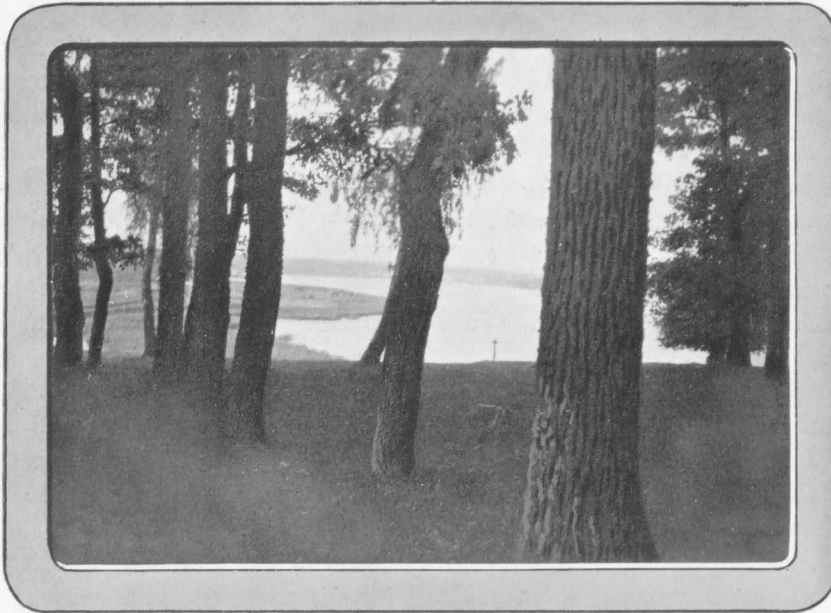
Nastąpiło dziwne milczenie.

— Pójdziesz ze mną do... mego gabinetu? — przerwał ciszę Eustachy.

Spojrzałem na niego zdumiony.

— Oczywiście — odrzekłem — dlaczego pytasz o to?

Lecz widocznie miał to być wieczór niespodzianek. Gdy wszedłem do gabinetu, stanąłem w drzwiach zdziwiony. Eustachy lubiał w mieszkaniu bardzo dużo światła. Dziś oświetlony był gabinet tylko małą lampą przysłoniętą jeszcze ciemno zielonym abażurem. Nadawało to pokojowi dziwnie



Frydryków. — Park.



Chata włościańska.



Frydryków. — Kaplica.

posępny wygląd. Eustachy zauważył moje zdziwienie.

— Ja ci to wytłumaczę — podchwycił — siadaj i zapal papierosa.

Przyjaciel mój grał dobrze na fortepianie. Nie czytał wcale nut, lecz obdarzony rzadkim słuchem muzycznym, grał z podziwu godną łatwością wszystko ze słuchu. Specjalnością jego były tęskne pieśni i dumki ukraińskie, które szczególnie kochał, i na których temat potrafił godzinami snuć coraz to nowe fantazje i warjacje. Chcąc przerwać ten dziwny nastrój, podszedłem szybko do fortepianu i otworzyłem klawiaturę.

— Zapal no dużą lampę i zagraj co, a zaraz się nam zrobi różniej na duszy — powiedziałem.

— Nie, nie — zaprzeczył nerwowo — nie trzeba lamp. Tak jest dobrze. A grać nie mogę...

— Tyś chyba chory? — spytałem — spleen, nerwy, neurastenja, co?

W odpowiedzi zadał mi pytanie, które pozbawiło mnie na chwilę mowy.

— Czy ty wierzysz w duchy? — zapytał poważnie. A gdy oniemiały, nie dałem odpowiedzi, zadał mi nowe pytanie.

— Czy ty wiesz, co za miesiąc jest teraz?

— Cóż za pytanie? — Listopad! — spróbowałem się zaśmiać.

— A czy ty wiesz, że to miesiąc zmarłych? Miesiąc powracania duchów na ziemię?..

I przy tych słowach patrzył uparcie w ciemny kąt pokoju za fortepianem, jakby czekał stamtąd jakiegoś potwierdzenia słów swoich. Nie należą do bojaźliwych, ale uczulem, że przeleciał po mych plecach drobniutkimi pazurkami przykry dreszczyk strachu.

— Nie wierzysz w to może? — ciągnął dalej jakimś dziwnie przygasłym głosem — nie słyszałeś o tem?

— Tak, owszem... — bąkałem, niewiedząc co odpowiedzieć.

— Czy wiesz o tem — tu chwycił mnie gorączkowo za rękę — że duchy tam, w zaświatach, tęsknią tak samo, jak my tutaj, za pozostawionymi na ziemi, drogimi sobie ludźmi?

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytałem. Eustachy popatrzał nerwowo na zegarek.

— Jeszcze pół godziny czasu... — szepnął jakby do siebie.

— Pół godziny? Ale do czego? — zawołałem niby wesoło.

— Posłuchaj. Wiesz, że przed piętnastu laty miałem się żenić. Poznałem u moich krewnych przecudną dziewczynę, która przyjechała z matką z Ukrainy. Po co ci szczegóły? Pokochałem Ewę tak, jak tylko może pokochać człowiek nieprzeżyty i szukający prawdziwego, głębokiego uczucia. Ewa pokochała mnie także. „Pokochała“! Dziwnie nieudolne i słabe słowo do wyrażenia tego, co było wtedy w naszych sercach i duszach. Bo widzisz, miłość, tak jak ja ją rozumiem, to nie to, co ludzie tem mianem pospolicie nazywają. Każdy poryw nerwów, szal, miłostka, flirt, to wszystko ma być miłością.

Tak, jak raz na sto lat zakwitnie rzadki kwiat, tak na tysiące serc ludzkich potrafi czasem wykwitnąć jeden rzadki, purpurowy kwiat Miłości.

— Każdy człowiek sądzi, że tylko on kocha prawdziwie, i że czuje inaczej, lepiej niż inni — wtrąciłem.

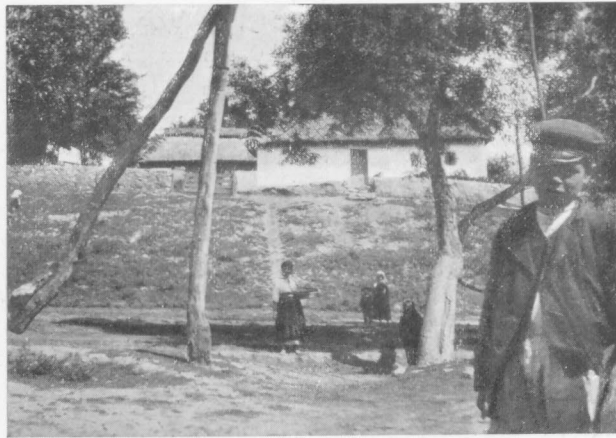
— Ojciec mój pozostawił interesa w bardzo zagmatwanym stanie — ciągnął dalej, jakby nie słysząc mej uwagi. — Oświadczyłem się, lecz prosiłem o dwa miesiące czasu, dla zupełnego uregulowania moich spraw majątkowych. Ewa wróciła z matką do domu, aby przygotować wyprawę.

Pamiętam nasze rozstanie. Już prawie pociąg ruszał, a ja jeszcze trzymając jej rękę w mej dłoni, zadałem pytanie:

— Czy zawsze moja?



Nad strumykiem.



Przy żórawiu (fot. amat.)

— Tylko twoja, na życie i śmierć — wyszeptowała, ściskając mi silnie rękę. I długo wstrzymywane łzy potoczyły się po jej ślicznej twarzyczce. To już temu lat piętnaście, a tak dobrze pamiętam każde drgnienie jej twarzy, wyraz oczu przy tych słowach. A gdy już pociąg ruszył, dorzuciła uroczystym szeptem, wpatrując się swymi dużymi szarymi oczyma we mnie:

— I po śmierci też twoja!..

Za sekundę już jej nie było. Jakaś dzika rozpacz zatrzęsła mną całym, chciałem biegnąć za pociągiem, uwożącym mi ją, jak mi się zdawało, na zawsze...

Pojechałem w głąb kraju, gdzie w jednym z miast ojciec mój ulokował dość duży kapitał w pewnym ryzykownym przedsiębiorstwie przemysłowym. Trzeba było zatopić się w interesach, cyfrach, konferencjach, a tu tęsknota i niepokój toczyły mi mózg i duszę.

Pisywaliśmy do siebie bardzo często. Jej listy! Czy widziałeś kiedy wczesny ranek wiosenny na wsi? Jej listy były takie, jak to słońce wschodzące z mgły różowej, jak te pąki kwiatów, osypane perłami rosy, jak świergot ptaków budzących się do życia dnia.

Wszak Ewa sama była niby Wiosna.

Chciała mi być radosną wiosną życia, i w niej samej obudziła się też preczysta wiosna uczuć...

W miesiąc po rozstaniu uderzył grom. Otrzymałem depeszę:

— „Przyjeżdżać natychmiast. Ewa bardzo chora“.

Po cóż ci opisywać cztery dni tej strasznej podróży? Po co opowiadać, co się działo wtedy we mnie? Jak dojechałem, sam nie pamiętam dobrze. Przebiegłem ganek, wpadłem do jakiegoś dużego pokoju i zobaczyłem Ewę na marach.

Wtedy przekonałem się, że można z bólu tarzać się po ziemi, bić głową o mur, i rzucać Bogu i ludziom straszne przekleństwa...

Pomyśl tylko! Zamiast ślubnych kwiatów—gro-

bowe wieńce, zamiast życia, szczęścia — grób!.. Zamiast radosnych uśmiechów tych różanych ust, i uścisku cudnych ramion — ciało z jakąś obcą, straszną twarzą, leżące bezwładnie w trumnie.

Co było powodem katastrofy? Nikt nie wie. Jakieś straszne zaziębienie, na które nie było ratunku. W dzień pogrzebu wpadłem w zapalenie mózgu, z którego mnie, niestety, uratowano.

I dotrzymała słowa. Od piętnastu lat, zawsze w Listopadzie, przylatuje jej preczysta dusza z dalekich gwiazd aż do mnie, aby móc mnie zobaczyć, aby zaspokoić tęsknotę i móc powiedzieć mi:

— „Kocham cię i po śmierci“!..

— I widzisz ją? — spytałem szeptem.

— Tak jak ciebie w tej chwili. Ukazuje mi się zawsze ot tam, przy fortepianie. I dlatego wolałem, abys nie przyjeżdżał teraz, bo boję się, aby ktokolwiek swą obecnością nie spłoszył mego drogiego Cienia... — Tu popatrzył gorączkowo na zegarek. — Idź już, idź stąd, proszę. Zbliża się chwila... Idź stąd, idź!..

Dreszcz strachu przebiegł mnie od stóp do głów. Zebrałem całą siłę, zerwałem się z krzesła, i jakby czemś gnany, wybiegłem do drugiego pokoju. Byłem już w drzwiach, gdy usłyszałem straszny okrzyk przyjaciela:

— Ewuś!!..

Do końca życia nie zapomnę tego straszego okrzyku. Drżał w nim żal, rozpacz, tęsknota i radość. Było w tym wykrzyku tyle siły, że przykuł mnie nim w progę, i kazał w tej chwili oglądać się poza siebie.

Eustachy stał niby skamieniały i wyciągał ramiona ku oknu. Pobiegłem oczyma w tym kierunku i uczułem, jak nagle włosy jeżą mi się na głowie, a krew zastyga w nieludzkim strachu.

Przy fortepianie stała wyraźna niewieścia postać. Dotknęła ręką ust i skinęła nią do Eustachego, jakby rzucając mu pocałunek, położyła rękę

na sercu i podniosła ją do góry, jakby wskazując niebo. Poczem postać zaczęła się robić bielszą, przejrzystą, i rozwiała się szybko niby dym... A potem... potem nastąpiło coś, co już nie mogło być ani złudą optyczną, ani halucynacją... Usłyszałem wyraźnie, jak jakaś bardzo delikatna ręka przebiegła szybkim muśnięciem całą klawiaturę otwartego fortepianu. I fortepian wydał dysonansową gamę, niby cichy jęk, westchnienie, jakieś rozpaczne łkanie...

A potem już nie wiem co się ze mną stało.

Gdy przyszedłem do przytomności, leżałem na

otomanie, a obok mnie stał Eustachy z flaszką wody kolońskiej w ręku.

— Widzisz, widzisz — powiedział. — Teraz już chyba wierzysz, że duchy zmarłych przychodzą czasem na naszą ziemię. Lecz trzeba bardzo, bardzo kochać, aby mieć siłę przywołać z oddali do siebie taki umiłowany Cień...

Mówicie, że uległem sugestji, lub wypilem za dużo wina?

Może... może...



Zawalijki na Podolu.

Hej, powiało dookoła..!

Hej, powiało dookoła —
Z poza siódmej, zda się, góry! —
Hula wicher wśród sioła,
Na swych barkach niosąc chmury;
Jako tancerz, gdy się w bok
Ujmie, mając już iść w tany, —
Pędzi przed się w świat szeroki,
Do szaleństwa rozpętany!
Z głośną wrzawą i chichotem,
Dmąc w skrzydlatych chłodów miechy,
Rwie, — tu wiejskim szarpnął płótem —
Tam wyskubał kiść z pod strzechy,
Owdzie, jakby duch skrzydlaty,
Do przestrachu niesie marę, —
Minął progi — wpadł do chaty,
Owionawszy kąty stare;
Lubym szalem rozbawiony,
Rozbijałe fale pieni, —
Pędzi przed się, jak szalony,
Nieodrodny duch jesieni.
Idzie tuman, hen, przez pola,

Rozpuściwszy siły wodze,
W pas mu kłania się topola,
Co wyrosła tuż przy drodze, —
Niestrudzony, liście suche
Strącił z krzewów w głuchym lesie,
Zbudził druchnę zawieruchę
I do nowych lotów rwie się.
Pozbawione blasku kwiaty
Już korony pochylły,
Skrzypią wrota starej chaty,
Jakby żalem zawodziły.
Rozwiczronym szlakiem chmury
Mkną w dal szarą ponad sioło
I jesienny dzień ponury
Kładzie chłodną dłoń na czoło.
Hej, a bywaj-że jesieni!...
Nie umkniemy wszak od Ciebie;
Chociaż zbladła moc promieni,
Na przeczystem drżąca niebie —
I choć próżno dziś po świecie
Ślady wrzosów wicher rozprasza, —
Tyś nie wieczna chyba przecie —
O jesieni polska nasza!...
Słowa ulgi rwą się z tona,
Wśród pragnień i tęsknoty,
Myśl ulata uskrzydłona,
Kędy błyszczą promień złoty...

Mknie wstęgami błękitnemi,
Ponad mroźny szlak zamieci, —
Oderwana od tej ziemi,
Ku słonecznym szczytom leci!
Mija tuman chmur, co brzemię
Na zbiegające kładzie lica, —
Wyżej wzlata ponad ziemię,
Gdzie króluje tajemnica...
Gdzie się waży życia losy
I wszechbytu tkwi zawilość,
Płynie cudna pod niebiosy —
Po nadzieję, — wiarę, — miłość!
Na przezroczą kładąc zorzę
Rozplakane prośbą lica,
Błaga: Stońce rzuć, o Boże!
Na odwiecznych łez ziemie!...
Dozwól marzyć jej o wiosnie,
Wśród tęczowych złud osnowy,
Niechaj uczuć pęk wyrośnie
W kwiat nadziei purpurowy!
Gdy promiennym błyskiem pała,
Rozproszona wśród rubieży —
Cały błękit — ziemia cała
Niech w rodziną pieśń uderzy!!..

STANISŁAW ŻYKOWSKI.



„Doskocz“ i „Strzała“.

Z CHARTAMI.

Znikły już złote plony lata z pól szerokich i znaczą się tylko plamami stert i stogów na równinach przestrzennych. Jeszcze gdzieś brunatnieją łany usychających łubinów, zielenią się seradele, szarzeją zielonawe pastwiska. Szachownica chlebnych pól mieni się już tylko temi dwoma kolorami: brunatnym we wszystkich płowych odcieniach i zielonym — późnych karmin, młodej runi wschodzącej oziminy, ciemnozielonym tonem, rozrostłego już rzepaku.

Charty moje od lutego już tylko „na spacer“ wyprowadzane w pole, na smyczy, sprykrzyły sobie już ostatecznie długie oczekiwanie swojego sezonu. Wypuszczone z psiarni na zamknięty dziedziniec coraz tęskniej wyglądały przez szpary sztachet na pole, a kiedy dojrzały mnie wsiadającego na koń przed stajniami, wyprawiły takie komedye przy akompaniamencie żałosnych, serce

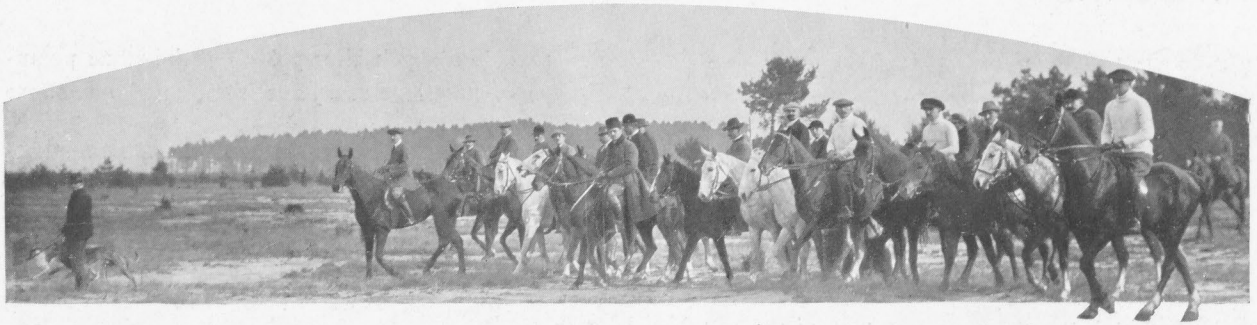
rozdzierających skowytów i pisków, że postanowiłem ruszyć z nimi na kota skoro tylko przejdzie 15 września.

Miałem dwie smycze chartów: jedna folblutów przywiezionych z Anglii, szczeniętami jeszcze, z bardzo rasowej i czysto prowadzonej psiarni — czarne, lśniące „Bob“ i „Mabel“ i żółty „Tric-trac“ oraz drugą, swego miejscowego chowu, złożoną z rosłego, tygrysię przegowanego „Turka“, ze srokiego, długowłosego „Gracza“ i z płowej w czekoladowe plamy, pięknej bardzo charcicy „Newki“, pochodzącej ze słynnej psiarni włoszczowskiej. Miałem jeszcze i siódmego psa, starego, żółtego, o długiej sierści „Doskocza“, psa niegdyś znakomitego i ogromnie silnego. Dziś „Doskocz“ miał już reumatyzmy i stracił szybkość. Trzymałem go jako weterana i wysokiej krwi reproduktora, wysłużył mi on się już bardzo i był na łaskawym chlebie. W pole prosił się zawsze ile razy wyjeżdżałem, ale trudno go było brać, bo pozostawał co chwila za końmi, kulejąc wciąż to na jedną, to na drugą nogę i dlatego nie mógł chodzić na smyczy.

Do charciego ekwipażu mego należał jeszcze dojeżdżacz, Józek Struzik, chłopak lat dwudziestu kilku, ważący sto trzydzieści sześć funtów zaledwie, zapamiętały charciarz i koniarz, perła prawdziwa wśród personelu stajennego. Koń, konna jazda, polowanie — to był jego żywioł. Strzelał i jeździł jak urodzony cowboy, najdzikszego konia potrafił ujeździć i uchodzić, a przytem kochał namiętnie konie i psy i one kochały go także. Miał cnotę u służby rzadką: pamiętał zawsze i przede wszystkim o koniach i psach, a dopiero potem o sobie. Choćby wrócił niewiedzieć jak późno w nocy do domu, zgłodniały, zmęczony, ziębnięty i przemokły — nie spoczął póki nie obrządził koni, póki nie wytarł



Z polowań w Włoszczowej w Kieleckiem. — Właściciel p. Sergjusz Niemojewski (X) z grupą gości przed wyjazdem w pole (fot. Sarysz-Wolski).



Z polowań we Włoszczowej: Szeregiem, stępo przez pole aż pomknie kot... (fot. Saryusz-Wolski).

i nie nakarmił chartów. A przytem — był elegantem i nosił liberję ogromnie stylowo.

Był też Józiek Struzik wielkim moim faworytem i wiele mu było wolno, a już w kwestyi kupna czy użytku konia, w sprawach myśliwskich, nie miałem lepszego doradcy, ani lepszego znawcy konia, psa i polówki.

W stajni miałem koni dużo, za dużo nawet, jak się przekonałem potem. Ale kochając konie folgowałem bardzo tej żyłce i chowałem stadko, dokupując nadto przy każdej okazji. Jako prawdziwy amator — cenilem przedewszystkiem konie wierzchowe, ich też było w stajni mojej, najwięcej. Za chartami jeździłem najchętniej na złoto-kasztanowatym „Lionel'u“, prawie folblucie, noszącym nadzwyczaj miękko, a pewnym w nogach, muskularnych i silnych, jak stalowe sprężyny. „Lionel“ namiętnie lubił polowanie z chartami i w pościgu prawie nietrzeba już go było kierować. Orientował się sam wybornie i bez impulsu jeźdźca potrafił dać kotowi „obrót“, skakał jak Anteusz, a z psami był w najczulszej harmonji. Dzień był pochmurny, lekko mglisty; kiedy wsiadałem na „Lionela“ przed stajniami „Dorskocz“ wspiął się na furtkę sztachetowego ogrodzenia przed psiarnią i zawył tak nieludzko, patrząc na mnie tak żałośnie wielkimi czarnymi oczami, że nie miałem serca odmówić go-
rącej prośbie Józka

i zezwoliłem go wziąć za koźmi.

Poszła z nami smycz swego chowu. Angliki zostały w domu. „Dorskocz“ włóknął się opodal z tyłu, baczenie rozglądając się wokół. Ale wyjechaliśmy trochę za późno, pod wieczór. Na ścierni i dwóch



Z polowań włoszczowskich. — Już poszczuty! (fot. Saryusz-Wolski).

podorywkach nie było ani jednego kota i zdecydowałem zawrócić do domu przez rzepak. Ledwie wjechaliśmy nań Józek syknął.

— Co jest?

— Lis! na samym końcu pola — przekłada za myszami po rządках...

Spojrzałem przed siebie i serce zatrzęsło mi się z uciechy. O czterysta może kroków przed nami ruda, podłużna plama przewijała się wśród ciemno-zielonych liści.

— Podjedziemy go! ściągnij psy!

Józiek strzepnął smyczą i z cicha począł do psów mówić:

— Hecoooo! hecoooo!

Psy nastawiły uszy, zaczęły się rozglądać. Podjechaliśmy wolno. Lis zajęty myszami jeszcze nie dostrzegł nas. Jeszcze choć z 50 kroków!

Wtem — z pod kopyt pomknął kot. Drgnęliśmy obaj — Józiek mimowoli puścił smycz i psy runęły za nim. Kot zakręcił przed końmi i wyciągnięty jak struna ruszył w przeciwną stronę, „pod włos“.

— Dojeżdżaj sam! — krzyknąłem zmartwiony. Bo lis naturalnie przepadał.

Usłyszał szelest, głos nasz i zoczywszy co się dzieje zmykał już na przełaj ku parowom, przez szeroki szmat ścierniska. Józiek ruszył za psami

i kotem, ja, trzęsąc się z żalu patrzyłem, stojąc, za li-

sem. Wtem jakieś

wielkie, żółte ciało jak strzała przesunęło koło mnie i kasztan mój ruszył w skok.

To „Dorskocz“, stary, zostawiony daleko w tyle, „Dorskocz“ szedł

na lisa. Nie ruszył

za zającem, spostrzegł my-

kitę na ścierni i pędził za nim przy-



Z polowań włoszczowskich:

pominając sobie pełne chwały dni dawnych tryumfów. I ja goniłem już jak szalony, ogromnie rad, z obawą jednak czy stary „Doskocz“ potrafi dojść zwierza. Że się z nim upora, skoro tylko dojdzie, o tem niewątpiłem wcale. „Doskocz“ nieraz brał lisa w „pojedynek“ dawniej, a nawet znał się z wilkami.

Scierń uciekała mi z przed oczu pod kopytami końskimi. „Lionel“ szedł wyciągniętym galopem i czerwona plama lisiego ciała coraz była bliższą, za nią, coraz więcej przybliżając się, biegła druga, żółta — „Doskocza“...

Sterty zbożowe migają koło mnie, zapatrzyłem się w te dwie plamy, zupełnie wołając wciąż: „haż-go! haż-go!“ — schylony na siodle, z sercem tłuczającym się, jak dziki ptak w piersiach. — — —

Już, już go „Doskocz“ sięga — jeszcze trzy susy, dwa — o! uderza go piersią! lis przewraca się i — znika mi z oczu — — — znika i „Doskocz“

Już go wzięły — Harap!!
(fot. Saryusz-Wolski).

który cały drżał...

Co to...?!

Obejrzałem się. Stałem na koniu na dnie parowu, w który skoczyliśmy: lis „Doskocz“ i mój dzielny kasztan z brzegu wysokości pierwszego piętra.

O parę kroków przedemną, na trupie lisa, z pyskiem na jego gardle, leżał tryumfator „Doskocz“ rozpierając się o żółtą glinę potężnymi łapami...

Dobrze w tym roku zaczęło mi się „charcie pole“. Jakże to już dawno...

KNIEJOWY.



Z psiarni p. Sergjusza Niemojewskiego we Włoszczowej (fot. Saryusz-Wolski).

KOPASZEWO.

Mówi się często i pisze w Galicji i Królestwie o zdrowym duchu w zdrowym ciele naszych braci Wielkopolan. Tam mniej waśni społecznej, lepsze wychowanie narodu, więcej hartu, pracy, spokoju, trzeźwości, słowem więcej tych cnót, z którymi najłatwiej żyć i przetrwać trudne okoliczności istnienia.

Nie będę się dziś rozwodził nad kwestją, czy owe często wygłaszane ogólniki są bezwyjątkowo słuszne, a mianowicie, czy ów spokój społeczny, owo wyrobienie polityczne w demoralizujących warunkach długoletniego ucisku, tak wcale nie doznaje uszczerbku. Raczej chętnie przyznam, że jest tych społecznych zalet pod zaborem pruskim tak dużo, iż zastanowić się należy nad przyczynami ich, nad źródłami, z których one swą siłę zaczerpnęły i rozrost.

Jedną z przyczyn, negatywną, jest niewątpliwie sam właśnie ucisk pruski, bardzo inny i odrębny od stosunków w Królestwie. W zaborze pruskim nie miał rząd przed sobą jednolitego, zwarte polskiego kraju, któryby można zmarnować ekonomicznie i kulturalnie. Przeciwnie, miał przed sobą dzielnice graniczne o ludności mieszanej, w których żywioł niemiecki zdawna był silny i zakorzeniony. Nie można było poprostu niszczyć tego kraju, w którym miasta były przeważnie niemieckie, a całe rozmaite okolice pełne dawnych niemieckich kolonistów. Ta okoliczność była główną, naturalną przyczyną specyficznie pruskiej taktyki wobec Polaków.

Walczone więc i walczy się z nami, że tak powiem osobiście. Nie kraj ma być wyniszczonym, ale Polacy zgermanizowani, dostrojeni do wielkich, świetnych, kwitnących Niemiec, i tylko o ile tego nie chcą, doznają ucisku.

Taka walka *sui generis* może mieć jedynie dwa wyniki. Albo asymilacja, wchłonięcie czynnika mniejszego przez większy, albo też, jeżeli się znajdzie dosyć siły odpornej, znakomite podniesienie i wyrobienie się owego mniejszego. Ta walka w atmosferze bądź co bądź kulturalnej, w środowisku, aczkolwiek złem, ale jednak wysokiego poziomu, o ile nie jest śmiertelną, staje się znakomitą szkołą hartu i cnoty. *Tertium non datur.*

Z tej negatywnej przyczyny zupełnie niewątpliwie wyniknęło podłoże obecnego stanu sprawy polskiej w Prusiech. Ale przejdźmy teraz do pozytywnych, do naszych własnych czynników, które na tem podłożu dały naszemu społeczeństwu tę siłę, że się właśnie nie zasymilowało, że zachowało swoją odrębność, swe kochania i wierzenia, że ustaliło w sobie tę moc ducha, która czyn wytwarza.

Są i były te czynniki po naszej stronie różne, ale z pewnością jednym z tych, których wpływ największą w Poznańskim odegrał rolę, był i jest dobry dwór wielkopolski.

Żadna dzielnica Polski nie jest z dawien dawne tak wiejską, jak Poznańskie. Cała waga życia społeczno-narodowego spoczywa tam we wsi. Miasta, nie wyłączając Poznania, nie odgrywają w księstwie ani w przybliżeniu roli Krakowa, Lwowa, Warszawy. Małe miasteczka w księstwie to tylko ekspozytury wsi okolicznych.

Tak było zawsze, jest i dzisiaj. Wczoraj skreślonym zdaje się opis tego kraju z przed wyprawy wiedeńskiej, gdy gość zachodni mówi o nim — *rustica enim regionis hujus conditio nec oppidorum splendore sed agri latitudine, Cererisque multis donis praeclara.*

Tej wsi, tego ziemiaństwa kulturalnym szczytem jest dwór wielkopolski.

Jak społeczeństwo i różniące się w niem okoliczności, tak i on jest rozmaitym. Bywał nieraz sła-



Kopaszewo, W. Ks. Poznańskie. Własność p. Kazimierza Chłapowskiego, jedynego żyjącego syna jenerała Dezyderygo Chłapowskiego.



Grupa rodziny Chłapowskich w dniu 16 września Złotego Wesela pp. Kazimierstwa Chłapowskich z Kopaszewa.

bym i nieodpornym na życiowe trudności i w niejednym miejscu nie oparł się fali, stał się z ostoji życia społecznego cmentarzem i tragicznym wspomnieniem. Ale gdzieindziej przetrwał, pełnił i pełni swoją misję, swe powołanie i przeznaczenie, tak, że chlubą się stał ziemiaństwa w całej Polsce.

Dziś to, co było wewnątrz kruche, przeważnie już upadło i odpadło, jest wykreślone z bilansu naszego stanu posiadania. Nieraz, i w ostatnich latach coraz częściej, nowe placówki zastąpiły dawne szczyty. Z osobnym jednak uczuciem zwraca się społeczeństwo nasze do tych siedzib rodów wielkopolskich, które zawsze, w najcięższych czasach, w najtrudniejszych warunkach, były nie tylko warsztatem ekonomicznym, lecz szkołą obowiązku społecznego, zasad prawnych i tradycji obywatelskiej. W nich upatruje słusznie źródła tego dobrego ducha, tej poczciwej działalności, której dziś jest wszędzie u nas dużo, ale która jest w pierwszym rzędzie zasługą owych przodków, owych stróżów cnoty i tradycji.

Z tych pracowników pierwszej godziny, z tych co osobami swymi łączą dzisiejsze pokolenie z wielkimi fundatorami odrodzenia wielkopolskiego—jednym z najbardziej kochanych i czczonych całym w kraju jest sędziwy syn ostatni generała Dezyderego, p. Kazimierz Chłapowski z Kopaszewa wraz z małżonką swoją Anną.

Ktoś porównał dom kopaszewski do strażnicy obozowej, w której wszyscy zawsze czuwają na posterunku. Porównanie dobre, bo jest coś żołnierskiego, coś obozowego w tym domu, tej rodzinie. Nie tylko w duchu, także w typie. Do niedawna,

kto przebywał gościnne progi pałacu kopaszewskiego, ten mógł spotkać po drodze na dzielnym rumaku harcującego starca.

Życie tam dostatnie, ale surowo skromne. W okazałej rezydencji nigdy nie zagościł zbytek i szych nowożytny. I rozmowa zawsze o czemś niezbędnym, o czemś krajowym, o jakimś interesie publicznym. I serca i umysły skierowane ku sprawom, nie tylko własnym, lecz i ogólnym. I troska żywa, gorąca o myśl publiczną o ducha obywatelskiego w kraju.

O kwestje religijne, polityczne, społeczne, tam rozchwyty żywy i nieraz gorący, nie tylko na tle współczesnym, ale i dawnym, czasów dla nas będących historią, a w tym domu jeszcze żywym, osobistym wspomnieniem.

Tam jeszcze zapalają umysły i gorące wywołują dysputy nierozstrzygnięte kwestje z roku 1830, tam świeże, jakby wczorajsze wrażenia z walk wewnętrznych i zewnętrznych o charakter katolicki naszego społeczeństwa z podniosłych czasów wielkiego *risorgimento* katolickiego w Księstwie przed laty czterdziestu i trzydziestu.

Tam ta tradycja taka żywa, bo własna. Kościańskie i Leszczyńskie, toż to samo jądro, samo środowisko najdawniejszego w Księstwie ruchu narodowo-społeczno-religijnego. Tu dwory kościańskich rodzin działały zbiorowo i jednostkami wybitnymi. Tu *kulturkampf* srożył się najmocniej, wytworzył całą epopeję, całą legendę, dziś jeszcze żywą w pałacach i w chatkach. Stąd wyszły dwa ruchy potężne, które ogarnęły całą dzielnicę. Gospodarski i katolicki. O pierwszym pisze ładnie w liście do

przyjaciela Maurycy Mann: „U was dzieje się rzecz wielka, w tej okolicy kościańskiej ma się przerwać odwieczny stan gospodarski, przechowany od Sasów lub Wazów, mają przyjść i już przychodzą nowe sposoby. Szczęść Boże tej dobrej woli i śmiałości, bo zaczynać nowe rzeczy zawsze trudno“.

Takie same odnowienie wyszło w tej okolicy pod względem katolickim w owych czasach, gdy liberalizm niemiecki szedł jeszcze ku nam bez akompaniamentu jaskrawego ucisku i znajdował w Księstwie na oścież otwarte umysły i pojęcia.

Kościańskie z innych się żywiło źródła. Kultura swoją i tradycjami związaną z światem romańskim, z Francją i Rzymem zadrgało pierwsze gorącym odruchem na głos Piusa IX, odnowiciela społeczności katolickiej. Tu najżywsze znalazł echo apostoła wielkiego Montalemberta, tu i w tych i w innych sprawach jakby serce biło Wielkopolski, z którego po całym kraju rozchodził się zapach i zdrowie moralne i kochanie spraw szlacheckich.

I dziś choć ci pierwsi wielcy bojownicy ducha i czynu spoczywają w swej utwierdzonej ziemi, znać w Kościańskim ich podniętą na każdym kroku. Jeszcze ta okolica, jak mało innych, swojską jest i naszą, tętno w niej życia polskiego bije raźnie i dzielnie.

Dwory polskie tam gęsto obsiadły swoje niwy i wsie chłopskie zamożne i mądre, i w miasteczkach Polak coraz bardziej głównym jest gospodarzem. A choć w tem serdecznym świetle polskiego życia i tam zdarza się nieszczęście lub wina, to jednak prawie zawsze stoją na wyłomie drudzy z ratunkiem i odkupieniem. Zaprawdę spoglądającemu na te strony trudno stracić wiarę w przyszłość!

Widomym symbolem tej okolicy, spójnią dawnych z nowymi czasy jest dom kopaszewski.

Niedawno temu państwo Kazimierzowie Chła-

powsy obchodzili swoje złote wesele. Winszowała im cała Wielkopolska i nieomal, że cała Polska.

Oddano hołd zasłużony tej dzielnej parze, która dobrze czyniąc przeszła i dalej idzie przez życie.

Dziś te kilka słów niech będą poświęcone temu całemu domowi, temu gniazdu rodzinnemu, temu dziadowi Napoleończykowi i tym rodzicom trzymającym wysoko honor szlachty polskiej, w półwieczu, w którym tak ciężkie na nią przychodziły czasy. I tym dzieciom ich, a wnukom wielkiego dziadka,

które dalej zapałem w sercu idą drogą tą samą, którą szli tamci.

Z sąsiedniej Turwi, z prastarej i najdawniejszej macierzy tego rodu wyszedł Kopaszew i stanął obok niej jako drugi potężny filar tej samej budowy.

Rośnie z tej ziemi, dobrze uprawionej, dużo zboża, ale rośnie jesz-

cze więcej cnoty obywatelskiej, bo tak dużo jej uprawiono i tak dobrze.

K. M.



Kopaszewo, Pałac z tyłu.

NIEMA TU CIEBIE...

Niema tu ciebie! i chodzę stęskniony
W słodkie, wspólne wsluchując się tony
Wieczornej fal kołysanki..
Słońce zachodząc rozciąga blask złoty,
Chciałoby może ogrom mej tęsknoty
Ozłocić! Smutna nadchodzi godzina
Nocy... i gwiazdy zapala na niebie,
A każda gwiazda tu mi przypomina,
Że tak daleka i świetlana...

...ciebie!

W. TYSZKIEWICZ.



Worończa
L. Lubańskich
pow. Nowogrodzki

FOT. AM. P. R.

TÓRCZYŃSKIEGO



DWÓR

PARK



PARK
FOT. AM.
POLSKIE
LUBAŃSKIE



FOT. AM.
POLSKIE
LUBAŃSKIE



PRASTARY
DĄB



WJAZD



Z
KODAKIEM



SPORT

(fot. am. z telki pp. Romerówien).

S. K. S.

O to trzy litery, co doskonale starczą za tytuł. Tem więcej, że są one w rzeczywistości tytułem — nie artykułu wprawdzie, nie pisanego echa, co jest wtórnym dźwiękiem jakiegoś faktu, ale tego faktu samego.

S. K. S. — to skrót nazwy działalności hodowlanej grona ziemian całej jednej okolicy kraju. W pełnym brzmieniu litery te znaczą: *Sandomierskie Koło Sportowe*.

Związek ten posiada już w dziejach naszej krajowej hodowli własną, poważnie zaczęętą kartę i jest objawem zdrowego zwrotu prowincji do działalności zbiorowej, którą dziś już bez obawy narażenia się na tradycyjne, sarkastyczne uwagi o wyłączności zabawy uprzywilejowanych klas — popierać i reklamować należy.

Minęły już czasy, kiedy wszelki sport uważany był za uprzywilejowaną tylko zabawę. Dziś zajmuje on już należne sobie miejsce w dziedzinie wychowania sił fizycznych, a sport konny stał się nareszcie i u nas właściwym współczynnikiem wzrostu ekonomicznych korzyści przez bezpośredni, nieunikniony i nie dający się zaprzeczyć związek swój z intensywną hodowlą.

Najwłaściwszym właśnie dla tego związku gruntem jest prowincja, gdzie na terenie większej własności ziemskiej rozwijać się on może w formie najpożyteczniejszej dla rezultatów krajowej hodowli.

Sandomierskie Koło Sportowe jest tego twierdzenia doskonałym i żywym dowodem i dlatego notujemy go na szpaltach naszego sprawom polskiej wsi poświęconego wydawnictwa jako dalszy ciąg poprzednio zamieszczonych uwag o rozwoju hodowli końskiej i sportu konnego na prowincji.

* * *

Terenem prób i popisów S. K. S. jest tor własny tego stowarzyszenia w majątku Bugaj, wydzielanym od p. Załęskiego przez Koło na jego meetingi. Leży Bugaj naturalnie w sandomierskiej, bujnej ziemi, o dwadzieścia kilka wiorst od stacji kolejowej Ostrowiec. Do dzierżawy należy i dwór, stary, szlachecki, w ogrodzie obszernym poważnie rozsiadły, gdzie podczas meetingu Koła gromadzi się cała okolica, napełniając sędziwe mury dziańskim i bujnym, pełnym temperamentu i zdrowej tężyzny życiem. Tu zbierają się wszyscy członkowie z rodzinami przed wyjazdem na tor, tu odbywają się ożywione wspólne śniadania, obiady, wieczerze, tu wreszcie po dniu na popisach hipicznych spędzonym, staje wieczorami dzielne i liczne koło sandomierskiej młodzieży do tradycyjnego mazura i zawrotnego oberka.

Dzięki uprzejmości byłego prezesa S. K. S., a obecnego jego seniora, pana Czesława Baczyńskiego, znanego hodowcy i dzielnego, mimo wieku, czynnego sportsmana, znalazłem miłą i staropolską prawdziwie na czas meetingu w Bugaju gościnę

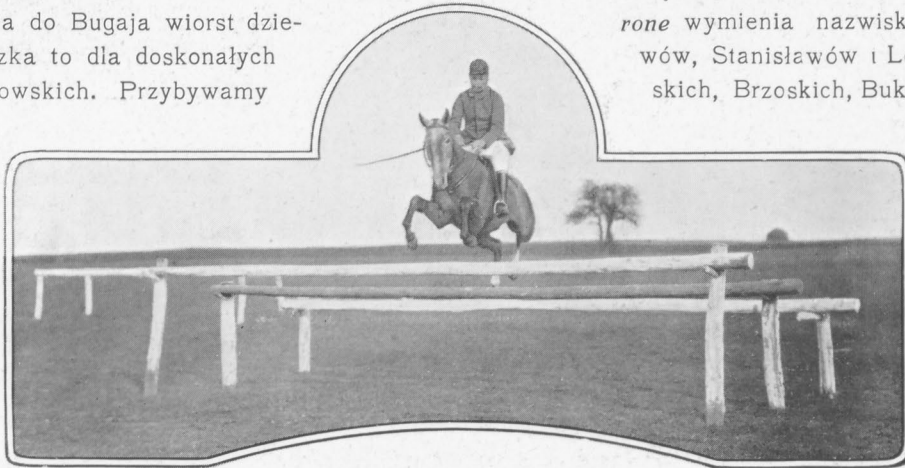
w domu jego, w obok położonym majątku Śmiłowie, tem miłszą, że dzieliłem ją z takimi championami sportu, jak redaktor Stanisław Wotowski i pan Peretjakowicz z Podola.

Ze Śmiłowa do Bugaja wiorst dziewięć. Ale fraszka to dla doskonałych cugantów śmiłowskich. Przybywamy więc rychło i na czas, w pierwszym dniu konkursów, kiedy całe towarzystwo zgromadza się do śniadania. Wobszernej sali odzywają się ze-

wsząd wesołe powitania. Wita Koło swego seniora, witają sportsmani redaktora Wotowskiego, wita wreszcie młodzież obu płci pana Peretjakowicza donośnym okrzykiem: „pan Icek przyjechał! Ma pan Peretjakowicz doskonałego steeplera tej właśnie nazwy; a że zdążył już „Icek“ pod swym właścicielem niejeden laur konkursowy uszczknąć i znany jest dobrze sportsmankom i sportsmanom, więc w miłej tej bezceremonialności zażyłych stosunków młodzież imię zwycięzcy na osobę jego dzielnego właściciela przenosi, a panie sandomierskie umią ze specjalnym wdziękiem wymawiać ten przydomek, podwójnie dla p. Peretjakowicza z pięknymi usteczek chlubny.

Wyjeżdżamy na tor—wiorsta tylko doń drogi od dworu. Podwójna jego—płaska i przeszkoda — elipsa leży na obszer-
nem, lekko sfalowanem polu, grunt jest utrzymany starannie, doskonale elastyczny z natury. Gospodaruje tu prezes S. K. S., znany sportsman, p. Gustaw Ośniatowski, podobnie jak pani prezesowa we dworze Bugajskim. Pomaga prezesowi senior Koła, a gospodarz mój. p. Baczyński.

Długi sznur powozów, amerykańów, szarabanów, wózków snuje się wśród zoranych pól i kielkujących ozimin po drodze z Bugajskiego dworu. Zjeżdża się cała okolica. Łaskawy mój *cicerone* wymienia nazwiska: pp. Czesławów, Stanisławów i Leonów Baczyńskich, Brzoskich, Bukowieńskich, Ci-



Pan Peretjakowicz na „Płotce“ bierze przeszkodę (fot. Saryusz-Wolski).

chowskich, Dobieckich, Herniczków, Jawornickich, Konarskich, Sewerynów Kotkowskich, Marcelich i Stanisławów, Karczewskich, Alek-

sandrów ks. Druckich-Lubeckich, Łempickich, Leszczyńskich, Malinowskich, Mrozińskich, pani Moraczewskiej Witoldowej z córką, księżnej Puzyniny z córkami, pp. Olszowskich, Rogójskich, Skotnickich, Świeżyńskich, Targowskich, pani Niegolewskiej, żony posła do parlamentu w Berlinie i wielu innych.

Goście zabierają wśród gwaru miejsca na trybunie, na wysokości budki sędziowskiej ukazują się sędziowie, rozlega się głos dzwonka — zaczynają się konkursowe próby.

W pierwszym dniu było ich pięć: nagroda p.

L. Gosiewskiego (60 rb. i żeton od „S. K. S.“), *burdle-race*, 2w., „Farys“ (p. A. Łempicki). 1. „Zibeline“ (L. ks. Sapieha). 2. „Ajaks“ (p. M. Piotrowski)

3. „Nie chcę“ A. hr. Wielopolskiego — „nie chciał“ skończyć wyścigu. Nagroda „Radomska“ (150 rb. od Tow. R. W. K. i żeton od S. K. S.).

Steeple chase około 3 wiorst, „Paliwoda“ (p. S. Rohland) 1. „Płotka“ (p. Peretjakowicz) 1. „Kipi Kasza“ (p. I. Olszewski) 2. „Poker“ nie kończył. Nagroda p. S. Kindlera (100 rb. i żeton od S. K. S.).

Cross-country steeple chase. „Tombola“ (p. I.



Deliberacje po biegu—w środku Senior Koła p. Cz. Baczyński (fot. Saryusz-Wolski).



Wyjazd ze Śmitowa na tor w Bugaju; w powozie redaktor St. Wotowski i „pan Icek”—na ganku gospodarstwo, pp.: Baczyńscy, p. St. Rachwał („Wiś Ilustrowana”) i p. Matzner skarbnik koła (fot. Saryusz-Wolski).

Bronikowski) 1. „Venus“ (p. G. Ośniałowski) 2. „Jedlonka“ (p. A. Łempicki) 3. „Icek“ (p. Peretjatkowicz) 4. Nagroda p. S. Niemojewskiego (200 rb. i 3 żetony), wyścig płaski na 6 wiorst „Flondryn“ (p. G. Ośniałowski) 1. „Kinda“ (p. Grabowski) 2. „España“ (p. J. Bronikowski) 3. „Imbir“ (p. S. Kindler) 4. bez miejsca: „Gorda“, „Daisy“, „Bajaderka“ i „Ida“.

Clou dnia stanowiła jednak nagroda Śmitowa składająca się z 2 przedmiotów wartościowych, ofiarowanych przez p. Cz. Baczyńskiego—raid myśliwski za mastrem na dystansie około 12 wiorst z Bugaja do Śmitowa i z powrotem.

Współzawodniczyło 5 koni, a pierwszym stanął u mety p. Wacław hr. Komorowski, na własnym „Cheer up“, drugi (o 1/2 dług.) p. I. Bronikowski na „Galopinie“; dalej „Kozaczka“ (L. ks. Sapieha), „Gouverneur“ (p. S. Rohland), „Cześć“ (p. S. Kindler) — „Zenith“ (p. W. Bronikowski nie kończył dystansu.

Program drugiego dnia obejmował również pięć gonitw z nagrodami: p. K. Zarzyckiego, pp. Bronikowskich, dwoma od S. K. S. i bieg myśliwski za mastrem na dystansie 6 w. Odnaczyły się znów konie: „Buta“, „Bajaderka“, „Icek“ i „Płotka“ p. Peretjatko-

wicza, „Daisy“ p. I. Olszowskiego, „Jedlonka“ (p. Łempicki), „A to co?“ (p. M. Piotrowski), „Imbir“ (p. S. Kindler), „Iskra“ (p. I. Bronikowski), „Mahomet“ (p. S. Lipiński), „Kajmakan“ (p. Gosiewski), „Budrys“ (p. G. Ośniałowski), „Ida“ (pan Bławdziewicz).

Ciekawym bardzo był przebieg sześciowiorstowego wyścigu myśliwskiego za mastrem, którym był prezes, p. G. Ośniałowski. W wyścigu tym przyjęła udział dzielna pani prezesowa, M. Ośniałowska, na swym ulubionym, gniadym „Fortelu“ po Szreniawicie i Szarotce ze stada ks. M. Radziwiłła. Wierzchowiec to doskonale zbudowany i dzielnie skaczący, ale gorący i energiczny, którego prowadzić może tylko spokojna i wytrawna ręka. Pani Ośniałowska złożyła dowody niepospolitych jeździeckich kwalifikacji. Przebywszy dystans przeszkodo-

wy w doskonałym tempie, wytrzymała i zaoszczędziła siły swego konia aż do ostatnich sążni finishu i oddawszy mu głowę dopiero w momencie, gdy „Ida“, „Mumm“ i „Płotka“ dosiadane przez wytrawnych jeźdźców już się wyczerpały — minęła metę pierwsza o kilka długości efektownym *rushem*, kłaniając się z wdziękiem trybunom swą aksamitną żokejką.



Grono sportsmanów z p. Moraczewską w pośrodku (fot. Saryusz-Wolski).



p. Łempicki finishuje na „Farysie“ (fot. Saryusz-Wolski).

Trzeciego dnia odbył się raid dystansowy na przestrzeni 30 wiorst, za mastrem, którym był senior Koła, p. Czesław Baczyński. Do ciekawego tego wyścigu, którego propozycja tak dziwnie zesłała się z projektem wskrzeszenia takich prób dystansowych, poruszoną przez nas w zeszłym miesiącu, stanęło 9 uczestników: p. Sergjusz Niemojewski na „Kapralu“, p. B. Peretjatkowicz na „Icku“, ks. L. Sapieha na „Kozaczce“, p. Rohland na „Gouverneur'ze“, p. Kindler na „Czci“, p. Lipiński na „Sultanie“, p. Bielicki na ogierze kozackim p. A. Bronikowski na „España“ i p. W. Bronikowski na „Zenith“.

Dzielny master dosiadłszy 8-mio letniej „Chmury“ (po „Veronese“ i matce pół-krwi arabce) poprowadził wyścig z Bugaju na Buczek i Winiary do Słupczy, gdzie zrobiono 15-minu-

towy wypoczynek. Ze Słupczy wyścig ruszył przez Czernin, Garbów, Jaroszkówkę z powrotem do Bugaja, a tempo raidu tak było szybkie, że prócz jednego pana

Sergiusza Niemojewskiego wszyscy jeźdźcy poodpadali po drodze. Do mety w Bugaju pierwszy też przybył p. Niemojewski na swoim żelaznym „Kapralu“, przebywszy około 35 wiorst w 1 godzinie 40 minut, a dodać należy, że koń ten przebył już w tym dniu około 8-miu mil drogi, bo służba p. Niemojewskiego nie mogąc się doczekać przyjazdu pana, wyruszyła rano z końmi do domu i dopiero nagłe przybycie p. N., zawróciło ich już z pod Ostrowca.

Drugim w 15 m. stanął na swoim „Icku“ pan Peretjatkowicz, w 25 zaś minut potem nadciągnęli i inni jeźdźcy, nie obyło się jednak bez przykrego wypadku, bo „Zenith“ p. Bronikowskiego złamał nogę już przy wjeździe na tor, stąpawszy w kretowinę.

Dowody wytrzymałości złożone przez „Chmurę“, „Kaprala“ i „Icka“ wyraźnie wskazują jaki to praktyczny użytkowy materiał produkuje rozumna hodowla półkrwi na prowincji, tam gdzie popiera ją zbiorowa działalność energicznie prowadzonych związków i stowarzyszeń, takich jak sympatyczne i dzielne Sandomierskie Koło Sportowe.

Rezultat opisanego wyścigu dystansowego prowadzi też, że podobne próby konieczne są na naszych prowincjonalnych meetingach sportowych.

Przez całe trzy dni liczne towarzystwo biorące udział w sportowym tem zebraniu co wieczór gromadziło się naturalnie w obszernych komnatach zacisznego Bugajskiego dworu, ochoczo stając do tańecznej zabawy, która do rana się przeciągała.



Członkowie „Sandomierskiego Koła Sportowego“ (fot. Saryusz-Wolski).

Umieją bo sandomierzacy się bawić! niegorzej niż konia dosiąść i na przeszkodę „z sercem“ poprowadzić. Grzmiały też przez te trzy dni ściany Bugajskiego dworu ochoczym gwarem i odgłosami rzeźkich holupców! Bawiono się jak to u nas, w Polsce, wieś jeszcze bawić się umie, a berło królewskie tych zabaw *vox iuventutis* jednogłośnie uroczej panie Moraczewskiej przysądził.

Meeting S. K. S. udał się doskonale, nie tylko pod względem zabawy ale i sportu. Zostawił on też uczestnikom prawdziwie miłe wspomnienie i zachętę serdeczną do dalszej na tem polu pracy. Wspomnieć też muszę, iż w uznaniu zasług około założenia i rozwoju S. K. S. wręczyła prezesowa, pani Marja Ośniałowska imieniem Koła seniorowi p. Czesła-

wowi Baczyńskiemu pamiątkowe *porte-cigarre* z napisem „Kochanemu prezesowi, wdzięczni członkowie Koła 30/IX, 1912“. Redaktora zaś „Jeźdźca i Myśliwego“, p. Stanisława Wotowskiego obrało Koło honorowym swym członkiem.

Pan Baczyński nawzajem ofiarował uczestnikom wyścigu swego imienia angielskie szpicruty z monogramem.

Wyjeżdżałem ze Śmiłowa z przekonaniem, że nasza krajowa hodowla coraz szersze i sympatyczniejsze dla swego rozwoju zyskuje tereny i że niezaginęła na polskiej wsi ta tradycyjna naszych ziemian pełna wdzięku i serdecznej uprzejmości gościnność, której żywy i niezapomniany przykład wyniosłem w pamięci z domu państwa Baczyńskich.

R.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY.

We wrześniu zakończył życie *Juljan Wieniawski*, znany w szerokich kołach ziemiaństwa naszego pod pseudonimem „*Jordana*“ pisarz. Urodził się w Lublinie 5-go lutego 1834 roku. Po ukończeniu nauk w instytucie agronomicznym w Marymoncie, brał udział w ruchu 1863 roku, poczem emigrował do Paryża i Lipska, gdzie odbywał studia prawnicze i handlowe. Po powrocie do kraju gospodarował na roli, od roku zaś 1892 zostawszy dyrektorem warszawskiego towarzystwa wzajemnego kredytu, zamieszkał stale w mieście. Od r. 1874 zaczął pisać swe gawędy, drukowane pod różnemi tytułami w pismach periodycznych („*Wędrówki delegata*“, „*Przygody panów Marka i Agapita*“, „*Listy Jordana do pana Jana*“ i in.), w roku zaś 1894 wydał pisma swe w zbiorowym sześciotomowym wydaniu. Napisał też kilka krotkość scenicznych („*Myszy bez kota*“, „*Słomiany człowiek*“, „*Polowanko*“, „*Dla dobra ogółu*“, „*Blaga*“ i in.)

Jako człowiek pozostał po sobie Jordan Wieniawski pamięć czystego charakteru i zacnego serca, wrażliwego na niedolę

bliznich, oraz pożytecznej pracy w zakresie swych pojęć obywatelskich. Jako pisarz był on nie tylko z pochodzenia ale z przekonania i zamiłowania szlachcicem starej daty, wiernym adoracją stanu ziemiańskiego, jako najpiękniejszego i najużyteczniejszego według jego pojęć. Dlatego życie, stosunki, poglądy, obyczaje, wady i zalety tego wybranego stanu były wyłącznym tematem jego pism, którym zdolność narracyjna, wykształcenie staran-

niejsze i pogodny, z pewną skłonnością do jowialnego dowcipu humor nadały potoczystą gładkość, barwę, plastykę i pewną indywidualną werwę.

Spełniał Jordan jako pisarz w miarę zdolności i sił ową pośrednią rolę filtrowania w warstwy ziemiańskie lat osiemdziesiątych zeszłego wieku owych rozcieńczonych i przerobionych *ad usum delphini* wielkich idei czasu, które bez takich pośredników może do nich nie przedostałyby się nawet w ułamkach.

A że spełniał tę rolę z dobrej chęci i w dobrej wierze, więc kartę życia zapisał zasługą obywatelską, której mu nie zaprzepotomność.



Juljusz Wieniawski, „Jordan“.

Z e szczupłego, bo ograniczonego dziś prawie tylko do jednej dzielnicy szeregu polskich politycznych postaci, ubyla znów jedna z najwybitniejszych. Umarł w Galicji przed kilkunastu dniami naczelnik krajowego jej samorządu, głowa i kierownik jedyne go polskiego ciała parlamentarnego — marszałek Sejmu Galicyjskiego *Stanisław hr. Badeni*.

Urodził się w r. 1849. Kończył szkoły w Krakowie, a po uzyskaniu doktoratu prawa i filozofii oddał się pracy społecznej. Wrodzone jego zdolności, stanowisko towarzyskie, majątek, stosunki prędko utorowały mu drogę na polityczną arenę.

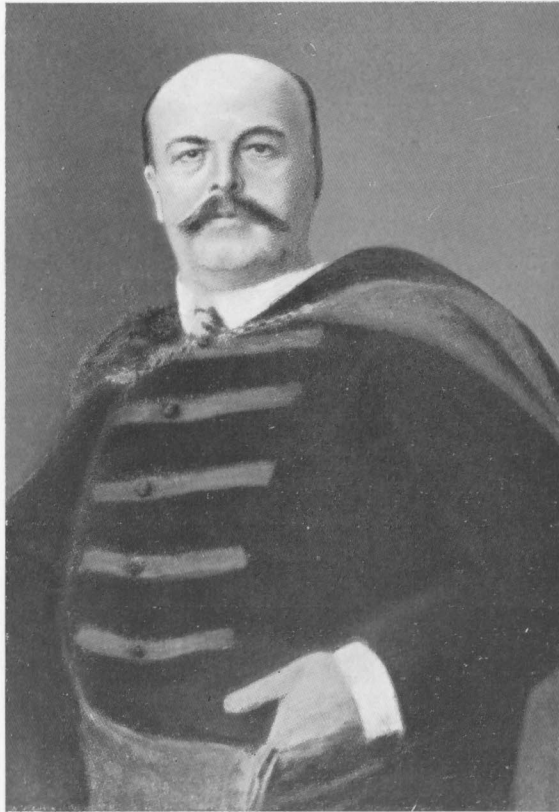
Wszedłszy w grono posłów sejmowych odrazu zaznaczył się Stanisław Badeni jako poważna siła w pracy około rozwoju oświaty i szkolnictwa galicyjskiego.

Rok 1895 podwójnie fortunnym był dla rodziny Badenich. Hrabia Kazimierz powołany został przez cesarza Franciszka Józefa do objęcia prezydium gabinetu austriackiego oraz teki ministerjum spraw wewnętrznych, hrabia Stanisław zaś objął w tym samym czasie laskę marszałkowską Galicji po Eustachym księciu Sanguszcze.

Na stanowisku tem wytrwał aż do r. 1901 i powróciwszy doń znowu w r. 1903 pozostał już na niem aż do wiosny r. b., kiedy ustąpił mimo nalegań i próśb korony i społeczeństwa polskiego z powodu nadwątłego poważnie zdrowia.

Zbyt rychło pokazało się też, że powód ten nie był pretekstem. Zdrowie ś. p. marszałka wyczerpane było w istocie i kres swój znalazło 13 października w rodzinnym jego majątku w Radziechowie w Galicji.

Za ciasne są ramy niniejszego wspominku aby można w nich złożyć wizerunek dokładny tak wybitnego męża stanu, tak pracowitego polityka jakim był ś. p. Stanisław hr. Badeni. Pomiędzy wszystkim co w Galicji działo się w zakresie pracy społecznej i politycznej w ciągu ostatniej ćwierci wieku a osobistością marszałka Badeniego jest nierozzerwalny i silny związek i dlatego niepodobna



Stanisław hr. Badeni. — Marszałek Galicji.

skreślić obrazu tej niezwykłej postaci nie pisząc jednocześnie historii sejmu, wydziału krajowego i autonomji Galicji.

Hrabia Stanisław Badeni wniósł do zarządu spraw galicyjskich żelazną rękę i żelazną, często bezwzględną zarówno dla drugich jak i dla siebie energję. Był siłą budującą, twórczą, wzorem pracy i twardego pojmowania obowiązku. Przez długi szereg lat opracowywał z wyjątkową gruntownością i przedstawiał Sejmowi cały szereg wniosków; kwestje reformy gminnej, ustawa szpitalna, poprawa losu nauczycieli ludowych, ustawa drogowa, sanitarna, budownicza dla wsi i mniejszych miast, agrarna, o komasacji gruntów,

łowiecka — rozwój oświaty i szkolnictwa, tworzenie kas Raiffeisenowskich, opróżnienie Wawelu z wojska — oto część zaledwie tych zadań do których ś. p. marszałek ochotnie stanął i które spełnił.

Polityka polska w Galicji hodowana w szablonie pojęć dziś już często przekreślonych przez życie, z drugiej strony potrącana ustawicznie przez separatyzm rusiński i dlatego stale defenzywna w zasadach, wytwarza często sytuacje, w których nawet tęgie jednostki kończą albo na ciasnej jednostronności albo poczynają lawirować. Marszałek Badeni za czysty był i za rozumny by skłonić się do którejkolwiek z tych alternatyw.

Jego bystry rozum i dar szybkiej orientacji, energia i zwyczaj poważnego a szybkiego traktowania wszystkich spraw, przy wypróbowanej prawości charakteru i patriotyzmu uczyniły zeń postać o wysokim moralnym autorytecie i pozwoliły mu łagodzić i uśmierzać wiele sprzeczności i fermentów w politycznym życiu kraju, na którego szalach zdanie jego miało zawsze pierwszorzędną, nie ulegający dyskusji walor. Umiał stać ponad stronnictwami i zmuszać wszystkie by liczyły się z jego opinią. To też nie zasłonią i nie zaciemnią powagi jego pamięci nawet błędy, jakie zdarzyło mu się popełnić.

Zostaje po nim społeczeństwu polskiemu — nie tylko w samej Galicji — wiara w patriotyzm i w czyn.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Haute saison w teatrach warszawskich przyniosła nam rostandowskie „Orle”, parę wznowień („Eros i Psyche” Żuławskiego z panią Fedorowiczową, — „Grube ryby” Bałuckiego, z Frenklem, Kamińskim i Wojdałowiczem, „Kupca Weneckiego” w świetnej interpretacji Kamińskiego) i jedną oryginalną premierę autora, którego nazwisko na afiszu Rozmaitości zwykle dotąd wywoływać sprzeczne sądy w krytyce, a niezwykle zaciekawienie u publiczności. Premierą tą była „Gra serc” Stefana Kiedrzyńskiego, znanego bliżej czytelnikom „Wsi” z paru drukowanych w niej nowel autora konkursowej sztuki „Dzisiejsi”.

Kiedrzyński jest autorem młodym i płodnym. W r. 1902 już, jako osiemnastoletni chłopiec, napisał jasełkową bajkę, która zwróciła na siebie uwagę. W r. 1904 u Miłośników sceny wystawił obrazek jednoaktowy „Jesienią”, surowy, ale zdradzający już oryginalny talent. Potem w Łodzi wystawił jakąś jednoaktówkę. W r. 1906 ś. p. Gawalewicz wystawił mu 3-aktową „Chimerę” i w 1907 sztukę „Karzełki”. Przyszły następne utwory: „Wolna kobieta”, konkursowi „Dzisiejsi” wreszcie „Gra serc”. Obok tego sporo nowel, powieść „Śladem kobiety”, drukowana w „Kurj. Porannym” i ostatnia jego książka „Ślodycz

Grzechu”, z której drukowaliśmy niedawno interesujący fragment.

W kierunku dramatycznym twórczość Kiedrzyńskiego rozwija się dotąd ruchem odśrodkowym, przechodząc od pierwszych, subiektywnych wrażeń do tematów, podejmowanych z fali życia bieżącego, z jej zakrętów i boleśnie drgających wirów. Interesuje Kiedrzyńskiego przedewszystkiem dola dusz zdolnych do rozkwitu uczuć, a szamoczących się w błotnej grzęzawicy stosunków życiowych, z której wyjście i ratunek daje tylko na rublu oparta obłuda. Uczucie w walce z pieniądzem — miłość i byt uwarunkowany posiadaniem pieniądza — głę-

serca i brzęk życiowych liczmanów — agonja wszelkiej prawdy pod tryumfującą stopą obłudy — oto treść i rdzeń owych problemów życiowych, które Kiedrzyński wprowadza na scenę.

„Gra serc” z tego samego wypłynęła źródła. To historia panny z „dobrego”, bo szlacheckiego, choć podupadłego domu, którą uniósł temperament młodej krwi do ułatwionego przez błotko miejskich stosunków upadku, by rzucić ją potem we frymark uczuć, w ohydę, która zwie się „zrobieniem dobrej partji”. *Régime* tych życiowych stosunków występuje tu jako niewidzialna, ale bardzo wyraźna, niemal upersonifikowana zasada; ta zasada „wygrania losu” w sposób uświęcony szablonem zdepra-

wowanych obyczajów społecznych, występuje tu i działa w całym otoczeniu panny Ireny; jej rodzice, jej brat, jej narzeczony, jej pierwszy kochanek, nawet rezydent rodziców Mora-Morski — wszyscy są rzecznikami i adwokatami tej zasady, która każe Irenie przekłamać duszę i wyklamać sobie stanowisko — partję — los.

Oto zasada, co występuje i działa jak alfons z rogu bocznej ulicy życia... ileż z niej pod jego wpływem kłamiących do grobu istot wchodzi na główny tego życia gościniec...!

Problem więc żywy, mocny, tragiczny. Prze-

prowadził go Kiedrzyński z siłą talentu, ze znajomością sceny, z mocnym nerwem dramatycznym.

W sztuce, której zadaniem i ideą jest ujęcie takiego problemu, szczegóły tła, charakterystyka zewnętrzna osób, nawet środki rozwinięcia akcji (byle ta akcja żyła naprawdę) — schodzą na drugi plan. To też autor potraktował je trochę szkicowo. Część pewna krytyki poczęła dopatrywać się w tej szkicowości *zewnętrznej*, wzorów rosyjskich. Zawsze wprawdzie można dopatrzeć się analogji jakich się szuka na scenie, ale w tym wypadku istnieją one rzeczywiście. Tylko istnieją tak, jak je daje samo życie. To codzienne życie, którego obyczaj także



Stefan Kiedrzyński.



Pani Ordon-Sosnowska.

wzoruje się na różnych barbaryzmach — np. na picciu wódki tak, jak niegdyś pijano u nas wino, albo na podawaniu sztuki mięsa przed zupą...

Zarzucono Kiedrzyńskiemu niekonsekwencje psychologiczne.

Radbym bardzo wiedzieć, jak wygląda formuła konsekwencji psychologicznej w życiu, którego każdy wypadek jest niekonsekwencją. Bo przecież to życie, zasadniczo do czego innego urodziło bohaterkę „Gra serc“, a co moment w inną popycha ją stronę. I ta właśnie niekonsekwencja epizodów jest logiką takiego losu, bo jest jego życiową prawdą. „Gra serc“ nie daje się mierzyć żadnym literackim szablonem, który wogóle dla Kiedrzyńskiego, na szczęście naszej literatury, nie istnieje. Jest to utwór silny, pełen głosu młodej, gorąco czującej krwi, o napięciach tak mocnych, tak dźwięcznych, że można zapomnieć o brakach literackiej jego kultury. Bo najwyższa nawet literacka kultura nie zastąpi talentu.

Kiedrzyński „Grą serc“ szarpnął bardzo mocno pewne struny duszy ludzkiej — i z dusz, w których te struny drżą, podniósł się odzew i — jęknął...

A oto przecież idzie. I jemu i publiczności. Teatr musi wzruszać; jeżeli tylko bawi — jest tylko

podniętą zmysłów. Zkądże dramat polski ma czerpać życie, jeżeli nie z żywych bólów i nędz dusz, co chcą w nim znaleźć odpowiedź na dręczące ich cierpienia...

W życie nasze wplotła się zbyt silnie tęsknota za hasłem wyzwolenia z warunków, w których każdy gest, każde słowo jest kłamstwem, a każda myśl i każdy czyn — rachunkiem — w których na rachunku, zbyt często stornowanym przez buchaltera zwanego Losem, kończyć musi nawet to, co rodzi się nadzieją, wiosną, wolnym prawem do szczęścia i światła... Więc twórczość talentów młodych, dość silnych, by przeciwko tej fali życiowego brudu stanąć do walki, buntuje się i wyzywa dzisiejsze szablony bytu. Kiedrzyński idzie już w pierwszym szeregu tych rewolucjonistów ducha, Czy znajdzie tajemnicze słowo wyzwolenia? Niewiem. Ale wiem już napewno, że szuka go z żywym płomieniem szczerego talentu pisarskiego i z całym zuchwałstwem młodości mocnej, wierzącej w jutrzejsze słońce..!

Sztukę, która jest cennym i ciekawym dorobkiem naszej sceny gra zespół Rozmaitości świetnie. Pani Ordon-Sosnowska w roli bohaterki daje w niej ten żywy, mocny, dyszący krwią i bólem ton, który podkreśla ideję sztuki. Doskonałe, wysoce artystyczne wyreżyserowanie całości i wyborną grę jednej z charakterystycznych, ważnych postaci zawdzięcza autor panu Józefowi Śliwickiemu, który wykazał przy tej sposobności niezwykle u nas odczucie zasadniczych myśli autora.



Reżyser — Józef Śliwicki.

„Gra serc“ — z serc, co umią czuć, nieprzestaje dobywać akordu tęsknoty do prawdy, do wyzwolenia uczuć z targowicy powszedniego bytu...

NICK.

MODA.

Listopad... „czarny miesiąc” — rozpoczynający się dniem żaloby, czyli Świętem umarłych, kryje w mgłach swoich i ponurym chłodzie cały smutek późnej jesieni, zwiastując blizki już zimowy letarg natury. A jednak w błyskotliwym świecie Mody, Listopad zajmuje pierwszorzędné miejsce z powodu w pełni już rozpoczętego życia towarzyskiego, ze wszystkimi możliwymi toaletowymi wymaganiami.

W stolicy świata panuje gorączkowe ożywienie. Prawie wszyscy, a raczej prawie wszystkie te, dla których tworzą „Modę”, są już na miejscu, skończyło się „*la vie des cha-teaux*”, bo paryżankom pilno do ukochanych Bulwarów, do Wielkich Magazynów, w których nagromadzono całe skarby najmodniejszych, najwspanialszych okazów, wymarzonych przez „Modę”, a wykonanych przez jej wielkich Mistrzów... bo trzeba przecież ukazać się wszędzie w *nowych* szatach, w *nowym* obramowaniu urody, pod *nową* postacią, w *nowej* linii, czyli rysunku. Otóż owa *nowość*, o którą tak gwałtownie chodzi i tym, którzy ją tworzą, i tym, które je noszą — dopisała w bieżącym sezonie nad wszelkie spodziewanie. Ale... te wszystkie nowe pomysły, ta cała powódź, wytworzyła taki zamęt, taki dziwny chaos, że nawet wprawnym kronikarkom Mody rozeznąć się w nich trudno...

Przez ostatnich lat kilka, trzymano się przeważnie w strojach wieczorowych, jakiegoś z góry obmyślanego planu, określonego „stylu” — programu...

Widzieliśmy piękne toalety „*Directoire*”, „*Merveilleuses*”, „*Empire*” i t. p. Czyniło to wrażenie strojów *kostjumowanych* (travesti) lekko *modernizowanych*, łatwych do określenia. W sezonie bieżącym, powstała całość oparta na szczegółach i szczegółach przesłicznych, błyskotliwych, świetlanych, bajecznie luksusowych i fantazyjnych — a w całokształcie tak nadzwyczajnych, że kierować nimi musi wyłącznie wyszkolony gust osobisty. Dawniej można było iść ślepo za „Modę” — dziś trzeba wiedzieć koniecznie w czem, w jakiej szacie, w jakiej właściwie draperji, czyli upięciu na figurze materiałów, będzie nam ładnie, co się dla każdej z nas nada najlepiej, co ją najszykowniej ubierze.

Pomimo trudności, jakie to przedstawia, spróbuję jednak przesłać Szanownym Czytelniczkom moim opis głównych zarzysów „Mody” jesiennozimowej.

Otóż cała olbrzymia gałąź modno-toaletowego przemysłu, wzięła za hasło „Zbytek” — zbytek w tkaninach precudnych, ale dochodzących ceną do 100—130 franków za metr, złoto i srebro lite, najmisterniej przetykane kamieniami i kryształami lamy, i pajęczę siateczki, koronki *rebroides* złotem, inkrustacje z tychże materji i koronek i prawdziwa orgja futer, pod postacią etoli i mufek olbrzymich, niebywałych, oraz płaszczy *manteaux*. Egrety i paradyzy (o piórach *pleureuses*, już zapomniano), dochodzące do rozmiarów fantastycznych i t. d., i t. d... oto jest wielka amunicja przyszykowana na modną zimową kampanję, w której walczyć będą cudne oczy i śnieżne ramiona o zdobycie palmy pierwszeństwa wdzięku i piękności, podniesionej do zenitu udanym, mistrzowsko wykonanym i artystycznie noszonym strojem.

W kapeluszach panuje w dalszym ciągu olbrzymia rozmaitość, jednakże wykazują one tendencję do zmniejszenia obwodów — główki mają być miękkie z aksamitu lub futer — runda ozdobiona paradyzami lub egretami, ale przypinanemi płasko w ten sposób, że całość tej ozdoby znajduje się poza rondem kapelusza!..

Krój spódnicy bardzo się przyczynia do scharakteryzowania mody. Pierwsze pytanie, które się nasuwa w tym kierunku, jest następujące: Czy spódnice pozostaną tak wąskie, jak dotąd? Jakim kształtem nosić je będziemy? Otóż wogóle dążą do poszerzenia spódnic, mianowicie w kostjumach *tailleur*, ale suknie strojne, obiadowe, rautowe, koncertowe i t. p., są wąziuchne u dołu i tak fantazyjnie upinane, że odkrywają stopy powyżej kostek, niema mowy o równym u dołu zakończeniu, tak zwanym dawniej *cyrklu* spódnicy, draperja po okrążeniu całej od pasa postaci, spada na ziemię w kształcie długiego spiczastego trenu, a czasem dwóch; a cała sztuka polega na ułożeniu tych właśnie draperji, wzorowanych na starożytnych rzeźbach, muszą one koniecznie lekko obwijać postać bez obciążania jej — i bez tamowania swobody ruchów. Do tych toalet nosi się całe jedwabne trykoty, koloru przeważającego w sukni i bardzo wycięte pantofelki, koloru pończoch lub czarne. Halki wykluczone. Tego rodzaju *draperje*, łączone są ze stanikami, jeżeli wogóle stanikiem nazwać można sztucznie ułożone na ramionach tkaniny, odpowiadające *pseudo-spódnicy*, z mańkami rękawkami kimono. Talja mało odznaczona, biodra o ile możliwości stracone w rysunku, do czego się przyczynia specjalny, coraz to bardziej elastyczny gorset.

Zaznaczyć wypada, że do tych nowych sukien strojnych wieczorowych, wymagalny jest wielki płaszcz *manteau*, kolorem do sukni zbliżony. To dopiero tworzy prawdziwie piękną całość i w tem przejawiają się „*La grande Mode* i *ie grand luxe*”. W wielkich paryżkich magazynach (*grands faiseurs*) do każdej strojnej toalety, wykończają odpowiedni płaszcz. Na te płaszcze używają najdroższych materiałów: aksamity, tkané *en relief* złotem i srebrem, materje *brochés* i t. p. Oczywiście kołnierze i zakończenie rękawów z kosztownych futer. Do lamowania i strojenia sukien używają futer płaskich, przeważnie gronostajów i nurków — do płaszczy, futer puszystych, z białemi, niebieskiemi i srebrnemi lisami na czele.

Jeszcze jedna z licznych — a bardzo piękna i sensacyjna nowość z dziedziny *du grand luxe*. Jest nią tak zwana *Robe-manteaux*, która ma w Paryżu duże wzięcie, na popołudniowe eleganckie wizyty. Oto jak się taka całość przedstawia. Spódnica do ziemi z *satín duchesse*, *drap de soie*, lub aksamitu, obożona do wysokości kolan futrem: krety — breitschwantz, karakuły i t. p. Do takiej sukni kładzie się okrycie z takiegoż futra, z luźnemi, łatwo wciąganiem rękawami, sięgające początku futrzanego obłożenia, co daje pełne złudzenie dużego okrycia, a nie jest tak ciężkie. Jest to sukces chwili. Najmodniejszymi kolorami są: przedewszystkiem fiołkowy *évêque*, następnie czerwony w odcieniach, zielony i jaskrawo-żółty, czyli kolory wschodnie, frakcji tak modnej perskiej.

Moda, z całym powyższym wzmiankowanym repertuarem, tak mnie obecnie zainteresowała, tak pociągała i ciekawiła, że zwykłe najpierwsze źródła, zasilające opisami i fotografjami moją modną wiedzę nie wystarczyły i chciałam ujrzeć te okazy *de la Grande Mode*, te cudnie wybrane *modele*, przewiezione na grunt Warszawski, tak bardzo podatny do rozwoju elegancji w *wielkim poprawnym stylu*. Poszłam więc tam, gdzie ten *wielki styl* jest wcielony — zakłety, gdzie widnieje w całości i szczegółach, opierając się na tradycji, na całym długim szeregu lat mozolnej, ale tak owocnej pracy — której godłem była i jest *estetyka*, czyli poczucie piękna w całym tego słowa znaczeniu.

Chcę tu mówić o magazynie pani *Anny Thonesowej*.

W pięknym, poważnym obramowaniu, w którym wyczuwa się nadzwyczajną solidność Zakładu, wielce szanowna właścicielka poleciła przedstawić mi najpiękniejsze okazy strojów sezonowych.

Przedewszystkiem kostjumy *tailleur*, zupełnie wychodzące poza wszelki szablon — *Haute nouveauté*, ale ta autentyczna, prawdziwa nowość — wszystkie śliczne — a dwa zwróciły specjalnie moją uwagę. Materiał czarny kamgarn, spódnica pięknie skrojona, u dołu tak zwane *creves* z ałasu czarnego. Żakiet z tegoż materiału, z dośyć szeroką baskiną i frakiem kwadratowym, trochę dłuższym od baskiny, prześliczne czarne hafty na baskinie i fraczkę. Prząd żakietu układany z koronki — rękawy z ałasu koloru *évêque*, guziki okrągłe kulki srebrne. Całość niezmiernie szykowna.

Drugi kostjum *tailleur* z najlepszego angielskiego welwetu — ciemno-granatowy. Spódnica bardzo oryginalna, przybrana na bokach rodzajem *paniers*, ale płaskich, bez nadmarszczania, roczaj szerokich, zaokrąglonych, luźnych plis. Do tego wspaniały żakiet z tegoż welwetu, z szeroką baskiną i dużym kołnierzem, wykończonym ze wspaniałego brokaru, dzianego złotem, i kolorowymi haftami w stylu wschodnim — także mankiety.

W dziale owych *manteaux*, tak ukochanych obecnie przez „Modę“, przedstawiono mi serję zdumiewająco piękną i bogatą. Najbardziej przypadły mi do gustu płaszcze następujące:

Velours chiffon, koloru fijołkowego, długi, szeroki, prześlicznie udrapowany, *coulissé* na boku, spięty olbrzymim aksamitnym fijołkiem, na ramionach płasko położony cały srebrny lis — także obłożenie rękawów.

Na fijołkowym aksamicie olbrzymie haftowane jaskrawo motywy, śliczne, zręczne upięcie — całość obramowana sobolami.

Trzeci okaz płaszcza najwspanialszy. Cały z lamy przytkanej złotem *empiècement*, z koronek weneckich *rebrodé or*, czyli haftowanych złotem, biały pyszny lis na ramionach, także obłożenie rękawów.

Na zakończenie olśnionym oczom moim ukazały się tualety strojne, wieczorowo-rautowe.

W myśl rozkazów „Mody“, do każdego z tych *manteaux* właściwa tualeta. I tak:

Szata z ałasu *Ninon*, fijołkowa, owym misternym krojem, odsłaniającym stopy, z waziuchnym spiczastym trenem, góra spódnicy przybrana draperją z białego tiulu, zupełnie zasianego kryształową białą sieczką *tubes cristal*; ta draperja łączy się artystycznie z ałasem pseudo spódnicy. Stanik tworzy całość przepięknie udrapowaną na ramionach z ałasu i tiulu haftowanego kryształami — na piersiach motyw pąsowy, podnoszący tę wytworną całość.

Druga *robe du soir* z aksamitu *chiffon*, koloru *tob*, to jest kreciego, z draperyjnym przybraniem — okoleniem, z tiulu haftowanego, a raczej dzianego bajecznie pięknymi świecidłami kryształowymi i imitacją prześliczną brylantów; to wszystko mieszane z haftami czarnymi tworzy medaljony. Całość — marzenie!... Zaczarowane królowe śpiące — śnić muszą o takich szatach...

Widziałam jeszcze mufki godne rąk księżących (modele *Maison Révillon—Paris*), olbrzymie, złotem tkane, bramowane sobolami — z najdroższych materji i futer, i t. d., i t. d.

Oczywiście, że te wszystkie modele kopjowane są z możliwą ścisłością i dokładnością.

Ciekawość moją została zaspokojoną, rzeczywistość przeszła wszelkie oczekiwania, cieszyłam się, że u pani *Thonesowej* znalazłam wyskok tego, co daje w tym kierunku Paryż, i że te wszystkie piękności ustrojają tak cudnie nasze polki, te, które już dawno i tak słusznie nazwano: „*Les Parisiennes du Nord*“.

MARCELE.





Tylko zdrowe ciało jest pięknem. Zdrowie zaś zależnem jest od właściwego odżywiania organizmu. Aby więc zachować zdrowie fizyczne i świeżość duchową należy stosować systematycznie Sanatogen Bauera.

JAK LIŚĆ JESIENNY.

Szybko chodziła po pokoju.

Wzburzona, podniecona, z błyszczącymi oczyma, z pałającą twarzą.

Z przyległych komnat starego dworu doleciał ją głos zegara, wydzwaniającego godzinę.

Liczyła — dziewięć.

— Wcześniej — pomyślała, — p. Narska jeszcze śpi. Ale co mnie dzisiaj jest? — przystanąła na chwilę przy oknie. — Jakiś mię dziwny lęk ogarnia, czyżby przecucie czegoś złego? Drzę cała, duszno mi, gorąco...

Przesunęła dłonią po czole, policzkach — paliły.

— Acha — szepnęła, — Ziuta pali się, jak mówi Julek.

— Znów! — jęknęła prawie i jakimś rozpaczonym ruchem, zarzuciwszy ręce na głowę, oparła się o framugę okna i stała tak chwilę z przymkniętymi oczyma; twarz jej raz poraz przebiegały łuny krwi, pierś falowała. Rozdętymi nozdrzami chciwie chwyciła świeży, chłodny powiew, jaki płynął przez otwarte okno do jej pokoju.

Raptem otworzyła oczy i mimowolnie — Ach, jak cudnie! — wyrwało jej się z piersi.

I rzeczywiście, widok był wprost olśniewający, przedziwnym dobozem barw i światła. Cały olbrzymi park, rozciągający się jak barwny kobierzec, kąpał się w złocie. Jesień wystąpiła w pełni melancholijno-podniecającej krasy. Drzewa liściaste, na tle wiecznie zielonych smukłych świerków, rysowały się jak bukiety żółtych róż, otrzymanych „od niego“ w dzień imienin i zasuszonych „na pamiątkę“. Słońce, jakby odgadując ich dziwną egzystencję tutaj, uśmiechało się ciepło, dobrotliwie, i aby uprzyjemnić im samotne chwile, wysyłało swe promienie, które, niby psotne chochliki, skakały po gałęziach to tu, to tam, rzucając purpurowo-złote błyski.

Wszystko mieniło się, drgało, żyło.

Drzewa poddając się ciepłu słonecznemu, niby pieszczotom kochanka, drżały rozkosznie, zrzucając z siebie co chwila złoty deszcz liści, które unosząc się na fali powietrznej lekko, leciuchno, jak tancecznice, przypadały na chwilę do ziemi, by znów za lada podmuchem wzbic się wyżej i bujać w przestrzeni.

— Jak cudnie! — szepnęła poraz drugi, — a ludzie mówią, że świat zły, głupi, marny. Nie, nie to tylko oni wstrętnei, ohydnei! Ach, uciec od nich zupełnie, roztopić się w tym złocie, rozprószyć się na pyłek, byle od nich zdaleka, bo tak dłużej żyć nie chcę, nie chcę! — rzuciła się z wybuchem i zacisnąwszy kurczowo dłonie, dyszała ciężko. Ale

pełny, silny czar jesieni kojąco oddziaływał na wrażliwą, ognistą naturę dziewczęcia.

Uspakajała się powoli i patrząc na bezustanne wirowanie liści w przestrzeni, myślała: — Lecą i lecą. Dokąd wy? Gdzie kres waszej wędrówki, jaki cel? A, może, może zawistnym losu — wiatru podmuchaem pędzone, błędzicie wciąż bez dziś, bez jutra, jak ja! Jesienne liście... które depczą tacy, jak on! — dodała szybko, z sarkastycznym uśmiechem i skinawszy lekko głową, usunęła się w głąb. Ruch ten i ostatnie zdanie skierowane były do młodego człowieka, wolno i leniwie przechodzącego aleją, tuż pod oknem jej pokoju.

Średniego wzrostu, blondyn, dość przystojny, na pierwszy rzut oka nie odznaczał się niczem szczególnym. Tylko cyniczny uśmieszek, błakający się koło pełnych, zmysłowych warg i znudzony wyraz pospolitej twarzy, świadczyły o pewnym zużyciu się i czyniły go znacznie starszym, niż był w istocie.

Podszedł do ławki i rzucił się na nią całym ciężarem.

Rozparty niedbale, chwilę patrzył na zasłaną liśćmi ziemię, wreszcie skrzywił się lekko i syknął przez zęby:

— Że też tego Marcina nie można nauczyć — wzruszył ramionami. — Tyle razy mówiłem mu, żeby zamiatał aleję. Nie mogę patrzeć bez irytacji na to ciągle podrygiwanie liści. Zupełnie jak drgawki epileptyczne!

Aaa... — ziewnął przeciągle, — jakże nudno. Co ja będę robił na tem pustkowiu jeszcze kilka miesięcy. Z tej małej Ziuty już nic ciekawego wydobyć nie można. Sprzykrzyła mi się ta gęś sentymentalna. Warto by jej się pozbyć. Ale jak? — zamyslił się.

— Będą sceny, płacze; przytem ciotka... przyzwyczaiła się do niej.

Zastanawiał się chwilę, jakby nad wynalezieniem sposobu, wreszcie wyrzekł z uśmiechem:

— Mam. Nastraszę cną matronę, że zakochałem się w tej pannie do towarzystwa, no i przypuszczam — chcę się z nią żenić; to z obawy, abym tego głupstwa nie popełnił, gotowa siebie poświęcić dla mej osoby.

Zapalił papierosa i puszczając kłęby dymu, myślał:

— Coprawda, to o tem była mowa między nami. Ale, czego to człowiek nie zrobi dla tych kobiet!

Nawet i wieczną, nietylko doczesną miłość gotów przystępować w chwili zdobywania ich. A tej

inaczej nie zdobyłbym, dumna jest. Żenić się, phi, także — wydał pogardliwie usta, — cóż ja bym robił z taką idealną żoną! Chybabym oprawił w ramki i postawił na biurku. No, żeby tak miała ze sto tysięcy, byłaby niezłym parawanikiem. Chociaż — kto wie, temperament ma, to z czasem... ha ha ha — zaśmiał się krótkim urywanym śmiechem.

Zapalił ponownie papierosa.

— Brrr... zimno — wstrząsnął się — trzeba iść.

Powstał i skierował się w stronę dworu.

* * *

Dzień miał się ku schyłkowi.

Posępny i chmurny, oddawał berło władzy w ręce swej zastępczyni — nocy i otulając się w ciężkie, szare mgły, układał do snu.

Ziuta siedziała na ławeczce, otoczonej z trzech stron wysokimi świerkami. Pomimo, że powietrze pod wieczór znacznie ochłodziło się, pomimo, że była lekko ubrana, nie czuła jednak chłodu, gdyż miała w sobie żar, który płomieniem występował na twarz i rozpalał ręce. Co paliło się w niej? Namiętność, uczucie?.. Nie. W tej chwili bunt. Bunt przeciwko temu bezprawiu, które się zwie prawem silniejszego.

— Jako, — wirowało jej w myślach, — więc można tak przyjść, rozpalić, roznamiętnić, a potem bez jednego słowa, bez żalu odejść, możnaż tak?

Nie umiała określić stanu, w jakim się znajdowała. Coś jej w piersiach wrzało, chwyciło za gardło, dusiło, męczyło. Serce, jak zranione ptaszę, trzepotało się, tłukło w piersiach prędko, pręciuchno...

Na końcu alei zamajaczyła sylwetka mężczyzny. Spostrzegła. „Julek“. Myśl, błyskawica: będzie przechodził tędy, powiedzieć mu wszystko, wszystko...

Zbliżał się; chciała się zerwać, pobiedz naprzeciw — nie mogła; drżała całym ciałem, nogi chwiały się pod nią.

A on tuż, tuż...

Ostatnim wysiłkiem woli powstała, ze ściśniętego gardła dobył się krótki, urywany krzyk — Julek! — oczami zawisła na jego ustach.

A on?

Chwila wahania, chęć ucieczki, wreszcie przymuszone, bardzo grzeczne i bardzo chłodne: „Słucham panią“ — powiedziane w ten sposób, że mogłoby również znaczyć: „Powiedz co masz powiedzieć i nie nudź mię więcej“.

Ostąpiła, cofnęła się.

I nagle myśl jej z przerażającą szybkością przebiegła wszystko od początku do końca, a więc: ucieczkę od gwaru miasta, kilka cichych miesięcy, spędzonych w towarzystwie tej dobrej, miłej starszki p. Narskiej, poznanie jego, pierwszy poca-

łunek, zakłęcia, przysięgi czynione na klęczkach, wzmianki o małżeństwie, a potem kilka ostatnich tygodni chłodnych, obojętnych, widoczne unikanie jej i to... dziś.

Zrozumiała, że przyszedł kres miłości.

Bezbrzeżny, śmiertelny smutek padł jej na duszę.

Z wysiłkiem podniosła ręce, ścisnęła skronie i nagle... zanosła się ostrym, szalonym śmiechem.

Spojrzał zdziwiony.

Była demoniczną, kuszącą. W zapadającym mroku zacierają się kontury twarzy, natomiast silnie uwydatniały się złote włosy, rząd białych, ostrych zębów, purpurowe, roześmiane usta i oczy błyszczące, utkwione w jego twarzy z napięciem, prawie obłądnym.

Machinalnie postąpił kilka kroków.

Przycichła. Zacięła usta surowo, z oczu powiał chłód.

Wskazała ręką na ławkę. Usiedli.

— Panie Juljanie — mówiła suchym, nieswoim głosem — więc wyjazd pański nieodwołalny? Za kilka dni oboje z panią Narską jedziecie zagranicę; oznajmiła mi ona o tem dziś przy obiedzie. Westchnęła ciężko i dodała:

— A ja? — i smutne, piękne oczy spojrzały na niego.

Żal mu się zrobiło dziewczęcia. Coś, jakby cień współczucia, zamigotało w oczach. Zakłopotany, począł się usprawiedliwiać. — Ale cóż on winien... okoliczności, prawda że to przykre... ona zresztą wie, jak jest zależnym od ciotki, chciał odłożyć wyjazd, namawiał...

— Dosyć — przerwała ostrym tonem.

Z jego niezręcznych, wymijających odpowiedzi domyśliła się, że kłamie i że ten nagły wyjazd, to jego sprawka.

Ocknęła się w niej duma.

— I pocóż się pan tłumaczy — ciągnęła z szyderstwem — komu, mnie? czyż warto? A cóż ja dla pana, chwilowa zabawka, która się już sprzykrzyła, czyż nie tak?

Umilkła na chwilę, z bijącym sercem oczekując zaprzeczenia.

Ale on nie kwapił się.

Ostatnia nadzieja zawiodła. Czuła, że nie miłości nawiązana ongi, zerwała się już zupełnie, do dała więc zimno.

— Zdaje się, że nie mamy sobie nic do powiedzenia, zatem żegnam i... — dorzuciła z ironją — życząc powodzenia na drodze nowych zwycięstw!

Powstała i wolno z podniesioną głową odeszła, znikając w mroku.

Pan Juljan nie wiedział zrazu co czynić: biedza za nią, czy zostać, ale, że zniknęła mu z oczu,

więc został — jakoś niemile dotknięty i jakby zawiadziony, że przewidywania jego inny wzięły obrót. A przecież... zaliczał siebie do znawców kobiet. Psychologja kobiety, chełpił się nieraz, ależ zna ją doskonale. Czyż obcując z kobietami różnego rodzaju, nie mógł poznać ich dokładnie? Np. mawiał, przy rozstaniu wszystkie zachowują się jednakowo: sceny, awantury, płacze. To też, o ile mógł, unikał takich chwil starannie. I tutaj wszystko dotychczas szło pomyślnie, aż dziś dopiero... Nie wypadało się cofnąć, więc został, będąc zgóry przygotowany na zło najgorsze. Tymczasem... ta czuła, płomienna dziewczyna, w której oczach często łzy widział, pożegnała go śmiechem i kilku wzdargliwymi słowy. Czyżby miłość z jej strony była udaną? Nie, nie, to w żadnym razie, ona zbyt prawa!

A więc?

Było to dlań zagadką.

Nie wiedział, że duma zdolna jest zabić w kobiecie uczucie, przynajmniej pozornie.

— Dziwne, dziwne — powtarzał.

A ona szła boczną aleją parku w ciemnej su-

kience, prawie zlewając się z mrocznym tłem wieczoru, tylko ręce opuszczone po obu stronach postaci, świeciły, jak dwie białe plamy.

Powiał wiatr i zaszumiały drzewa.

— O, szumcie, szumcie — szepnęła i wyciągnęła ręce, jakby pragnąc cały obszar objąć uściskiem i przycisnąć do piersi. — Śpiewajcie mi pieśń pożegnania. Ostatni raz was słucham, ostatni...

I powiał wiatr i zaszumiały drzewa, a z pól dalekich, z łąk szła pieśń szeroka i rozlewna, jak fala na wzburzonym morzu, szła coraz bliżej, bliżej, aż pianą z żółtych liści przypadła do dziewczyny stóp.

A liście zaszumiały skargą na swój los cichutko i żałośnie. Schyliła się i zanurzyła rękę w tej pianie, a na spalone wargi gorący wybiegł szepot:

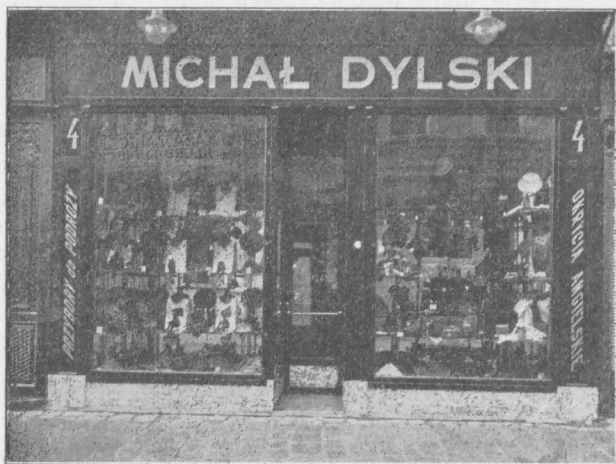
— Biedne!

— Ja z wami, też jesienny liść, co błąka się po świecie!

Wiatr szumił, miotał się, wył, pędząc zdaleką nową falę — pieśń...

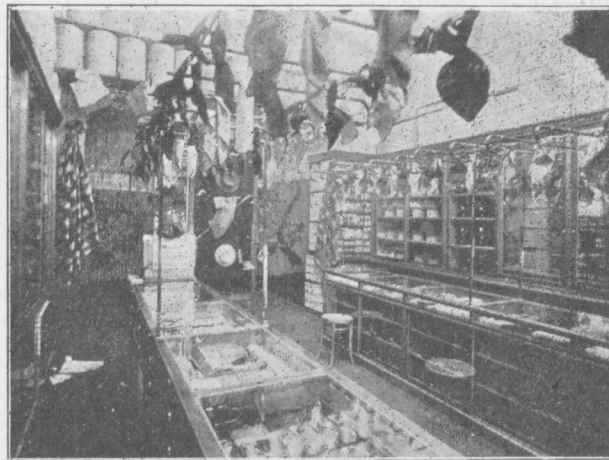
IBIS.

O rozwoju handlu krakowskiego.



Szybkiem tempem zdąża krakowski handel po drodze rozwoju: co raz to nowe powstają w murach prastarego Krakowa placówki jego, a wszystkie obliczone na miarę europejską, że nie powstydzilyby się ich stołeczne nawet metropolje naszego kontynentu.

Jedną z takich nowych placówek handlowych na gruncie krakowskim jest niedawno otworzony Magazyn Mód Męskich i Galanterji p. f. **MICHAŁ DYLSKI**. Mieści się on w najruchliwszym punkcie Krakowa, gdyż przy **ul. Szewskiej pod № 4**, u wylotu jej w Rynek Główny. Na miano wzorowego zasługuje Magazyn p. Michała Dylskiego w zupełności, zarówno pod względem wspaniałego wyboru pierwszorzędnej jakości towaru, pochodzącego zazwyczaj z renomowanych fabryk zagranicznych, ja-



koteż i pod względem efektownego wprost urządzenia wystaw i wnętrza sklepu. Jest też nowy ten Magazyn prawdziwą ozdobą miasta, a rzec można bez obawy o przesadę — i chlubą kupiectwa, jako że właściciel jego, a zarazem kierownik cieszy się opinią wytrawnego handlowca dzięki wieloletniej praktyce swej w wielu instytucjach tejże branży, posiadających rozgłos światowy. Nic zatem dziwnego, że dba p. Michał Dylski nietylko o zewnętrzną formę swego Magazynu, o jakość swych towarów, lecz także o dobór personelu, co razem wzięwszy, daje gwarancję zupełnego zadowolenia krańcowych nawet wymagań wytwornej klienteli, których koło rozszerza się z dniem każdym, świadcząc tem dobitnie o wartości nowego Magazynu.

s.

PRZEZNACZENIE.

Pani Morska siedziała na wygodnym fotelu opodal biurka, zavalonego fotografjami, stosem papierów i liczną korespondencją. Była zamyślona i mocno zafrasowana. Tyle się jej par udało skojarzyć, a tu, jakby na złość, ten ostatni uprojektowany związek idzie... jak z kamienia. Panna, co prawda, mocno nieładna, ale i ten defekt się zmniejsza, kiedy ową nieładność pokrywa zasłona ze 150000 rubli gotówką; woal ślubny utkany z marmony, a sto pięćdziesiąt tysięcy uczynić może z padółu łez siedzibę znośną. Morcio nic nie ma, ale ma parentelę (jego mama z domu hrabianka), ślicznie mazura prowadzi, biegły we wszystkich sportach — słowem, żony nie zawstydzi. Więc ledwo skłoniła pannę, żeby miłym okiem patrzyła na Morcia, który za sobą obok taczki dobrych chęci ciągnął taczkę lenistwa, kiedy tymczasem ta jego rodzina — ta zrujnowana rodzina — jeszcze trudności zaczyna stawiać... Za dziesięć lat może on znaleźć taką samą partję... gdyby miała pół miliona, to co innego... głupie 150000 to niewystarczający płaszcz dla okrycia wszystkich braków... Jakże więc im wyperswadować, że im Morcio będzie starszy, tem go trudniej będzie związać stułą?

Dzwonek usłyszany obudził ją z tego głębokiego rozmyślenia, wróciła do realności życiowej, gdy słyszający wszedł i bilet wizytowy wręczył.

— A prosz, prosz... przecież tego pana prosi się bez meldowania.

Henryk Różycki wszedłszy, doznał jaknajgorę-

szego przyjęcia. Pani Morska uśmiechnęła się tryumfująco, uśmiech jak promień słońca rozjaśniał półwiekową postać, na której lata się przysunęły, rodząc samotność po stracie ukochanych osób, a dostatek, osłaniając od kłopotów materialnych, pozwolił jej używać życia gwoli czynienia dużo dobrego bliźnim.

— Więc cóż mi teraz powiesz, kochany wólczygo, kiedyż się staniesz porządnym człowiekiem, domatorem, kiedyż się ożenisz?

— Aby stracić swobodę i zaprzędz się do słodkiego jarzma, na to matysi nie służę, — odrzekł, całując ją w rękę, — ja tylko pani Swobodzie wierność ślubowałem.

— Raczej panu Despotyzmowi, bo czyż jest na świecie coś bardziej kapryśnego, nie ujętego w żadne karby rozsądku, jak ta wasza swoboda? To jest po prostu fantazja, która się na najgorszy z despotyzmów przekształca, to brak koniecznej obowiązkowości, trzymającej na wodzy wasze skłonności, to was właśnie oddając na pastwę fantazji, jej humorów, czyni z was ludzi nieobliczalnych... Dla tego to na was liczyć nie można.

— A moja matuš chrzestna wołałaby, abyśmy wszyscy, jak dobrze nakręcone automaty, bez najmniejszych poruszeń, drgnień, wzruszeń, wypełniali z góry nakreślony program. Zaręczam, iż trudno byłoby wytrzymać w takim świecie, gdzieby każdy wedle gotowej recepty postępował.

— Więc już broń składam i nie mówię o ożenku, ale pytam się, czem się zajmujesz?

PIERWSZORZĘDNY ZAKŁAD STOLARSKI
I PRACOWNIA ARTYSTYCZNO-BRONZOWNICZA

A. WENDORFFA i SYNÓW ○○○○○○○○ W WARSZAWIE, ○○○○○○○○
NOWOWIELKA 22 — TELEFONU 193-34.

Wykonywa wszelkie stylowe urządzenia: Pałacowe, mieszkalne i t. p., według własnych i poleconych projektów.

ZAWIADOMIENIE

Nowo-otwarty został **Bar „SATYR”**

JEDYNY W SWOIM RODZAJU, **Marszałkowska Nr. 81a. Telef. 102-24.**

Polskie Biuro Leśne

Ks. Zdzist. Lubomirski i S-ka, Warszawa, Żorawia 22, tel. 90-90.
Urządzenie gospodarstw leśnych, inspekcje
i taksacje leśne. Komisowa sprzedaż lasów.

— Dumą i nie dumą — postowanie się skończyło — rolę i ogrodem, trephauzem, szaleję za storczykami najdziwaczniejszymi i pewnem dziełem filozoficznym, zrodzonym dopiero w myśli, mającym zadanie najtrudniejsze i najprostsze; jak uczynić życie znośne, aby ludzie nie ciążyli sobie i drugim; ale oświata będzie na porządku dziennym i ja jestem jej adeptem. Jeśli nie mam szkoły, to mam ochronę koedukacyjną zresztą podobną do tej, którą ma w jednej osobie moja ciotka i matka chrzestna.

— Ja, ja się przedewszystkiem szkołą życia zajmuję, co nie przeszkadza, iż mam ochronę.

— Więc ja się nie ożenię i moi synowcy i siostrzeńcy nie będą potrzebowali sięgać aż do Ameryki po spadek stryjowski... Będę na ich szczęście tym stryjem z Ameryki, mieszkającym w Polsce.

— Starzy kawalerowie — twierdziła p. Morska, stają się mantykami i daleko są gorsi od tak okrzyczanych starych panien.

— Może być, — odparł Różycki, — cóż robić, trzeba iść za głosem przeznaczenia!..

— I znowu z ciebie fatalista, mój synu chrzestny, ja z tobą sobie rady nie dam.

— Matuś kochana, najlepiej tej kwestji nie dotykać więcej.

— Zgadzam się na to, jest już pogrzebana, ale powiedz, dlaczego nie było mię uprzedzić o twoim przyjeździe?

Momentalnie się to stało, w lokomobili się coś zepsuło, przyjechałem, aby wynaleść technika i zawieść go do Różyca.

— Cieszę się z tego wypadku, bo był powodem twojego przybycia, ale tymczasem, zanim w świat

wyruszysz, napijesz się ze mną filiżankę herbaty, a potem wrócisz na obiad, twój pociąg dopiero o godzinie dziewiątej odchodzi.

— Teraz — mówił Różycki — mam godzinę czasu, odłożyłem ją sobie, aby się cicią nacieszyć, wrócić, zdaje się, iż nie będę mógł.

Gdy służący przyniósł herbatę, a Henryk popijając, zapalił papierosa i gdy najżywiej rozmawiano, Józef znowu wrócił z biletem. Tym razem z Milanówka przyjeżdżały dwie panie, które paczki zostawiły u stróża.

— Może odejść? — zapytał Różycki.

— Jak chcesz, te panie to matka z córką, mieszkają pod Warszawą, zostawiają u mnie paczki. Jestem bowiem główną kwaterą, gdy są w Warszawie, a później obarczone nowemi, przychodzą, aby wszystko zabrać i wrócić do siebie. Kazałam je prosić, bo to są zacne dusze i w wielkiej jesteśmy przyjaźni.

Pani Włodarska z córką Laurą niebawem weszły. Jedna przedstawiała jesień życiową — spokojną i zrezygnowaną, druga wiosnę w całym ożywczym rozkwicie. Wszystko w niej drgało, śpiewało, promieniało, udzielając promieni drugim.

Po przywitaniu przyznały się, iż teraz na dalsze siedzenie czasu nie mają, bo iść w drogę muszą, trzeba wszelkie załatwiać interesa, sprawunki, póki dzień, a już dni teraz krótsze we Wrześniu, „aby za późno nie wrócić, bo to mamie szkodzi“, dodała Lorcia; na Henryka, który im został przedstawiony, ledwo zwróciła uwagę — taką była zajęta i przejęta ciężarem drobnych spraw do załatwienia.

— Więc cóż takiego macie do roboty — pytała pani Morska.

WALERYAN SNIECHÓRSKI

BIURO KOMISOWE I⁶⁰ RZĘDU

ZATWIERDZONE PRZEZ MINISTERJUM, KAUCJONOWANE

□ □ □ WARSZAWA, ULICA KRÓLEWSKA Nr 29 □ □ □

PRZEPROWADZA:

Sprzedaż — Kupno — dzierżawy majątków ziemskich, domów, placów, willi, fabryk przemysłowych i akcyjnych przedsiębiorstw, wogóle różnego rodzaju nieruchomości. Parcelację majątków ziemskich, oraz miejskich i podmiejskich placów i posiadłości. Lokatę kapitałów na hypoteki. Wyrabianie kredytów handlowych i przemysłowych. Spółki hadlowo-przemysłowe, udziałowe oooooo i akcyjne Towarzystwa. Wogóle najszersze pośrednictwo. oooooo

MAJĄTKI ZIEMSKIE, DOMY I WILLE SĄ ZAWSZE DO SPRZEDANIA.

WALERYAN SNIECHÓRSKI, ULICA KRÓLEWSKA Nr 29.

— Mama musi być u adwokata i ja z nią idę — teraz, pani wie, po co do Izdebskiego, a małe domowe sprawunki, — ledwo będziemy miały czas wrócić, pożegnać się z panią, zabrać manatki i jazda do domu.

— Ale was nie puszcze bez obiadu, musicie przyrzec, iż na obiad wrócić.

— Nie możemy się wiązać, droga pani — mówiła pani Włodarska, lecz Lorcja dodała: — zgłodniałej i zmizerowanej matki nie odwiezie do domu, kochana pani, o którejkolwiek godzinie przyjdziemy, każe nam dać herbatę i trochę bułki z masłem, będzie aż nadto dobry posiłek.

— Ale postarajcie się przede wszystkim zająć tu o wpół do 8-ej, wszak wyjeżdżacie koleją o 9-ej, jest jeszcze czas do nabrania sił, — namawiała pani Morska.

— A teraz, gdy odeszły, — mówiła pani Morska do Henryka: — i wiem, że i ty się śpieszysz, to cię nie przetrzymuję — może mimo zajęć i ty przyjdiesz na obiad?

— Nie omieszkam, — odrzekł teraz Różycki — ale chwilkę jeszcze zabawię, bo radbym coś wiedzieć o tych paniach — gdzie mieszka ta złotowłosa?

— Ooo... żenić się nie chcemy, a zawsze studja niewieście na porządku dziennym!

— Panna Laura Włodarska z matką mieszkają w Milanówku, skutkiem nieuczciwości z jednej strony, a jej łatwości, zostały wyzute z mienia. Pani Włodarska prowadzi proces z kuzynem, byłym opiekunem Lorcji, aby wywindykować dość pokaźną sumę. Tymczasem żyją z własnej pracy. Pani Wło-

darska zajmuje się domem i haftuje, Lorcja jest artystką malarką, ale teraz przeważnie maluje na porcelanie, gdyż to lepiej popłaca; właśnie do wypalania przywoziła sporo filiżanek i ma u mnie już wypalone talerze; ma gustu dużo. Musiała biedaczka zarzucić, co Francuzi zowią „la haute peinture“, bo te panie nie mają czasu czekać na kupno, a z obstalunków rzeczy potrzebnych żyć można... Ale teraz niegościnnie cię pożegnaj, wolę żebyś krócej siedział, a prędzej wrócił — tem więcej, iż moja sesja Towarz. Opieki, dziś o g. 5-tej się rozpoczyna.

— Ale jeszcze jedno pytanie. Czemu ciotka, mająca za zadanie swatać kogo może, złotowłosej Laury jeszcze za męża nie wydała?

— Za męża? — roześmiała się ciotka, — jak gdyby to łatwo było, bez posagu? W terażniejszych czasach bez posagu i z minusem w dodatku, bo słodkim ciężarem kochanej matki. Jednak nie czekając na milionera amerykańnika, miałam inną dobrą kombinację. Stary, siedemdziesięcioletni Zajdowski proponował się z nią ożenić, intercyzą zapisać jej spory kapitał i t. d., ale choć panna niema co jeść, nazwała to sprzedażą i zgodzić się na nią obie nie chciały. Ja już się z tem musiałam oswoić. Ona za męża nie wyjdzie, prawda? Dziwnie jeszcze istnieje jakaś fantazja u niewiast, tu w tym wieku czapkowania przed brutalną siłą pieniędzy, która niestety, wszystkim rządzi. Gdybym nie miała te trochę grosza, oprócz ciebie, tych pań, kilku jeszcze przyjaciół, czyby mnie znano?

— Tak, tak, — mówił w sposób roztargniony

ZAKŁAD ORTOPEDYCZNO-CHIRURGICZNY I ZANDEROWSKI

D-rów W. ŁAPIŃSKIEGO i W. REKLEWSKIEGO
ALEJA JEROZOLIMSKA № 65, Telefon № 20-22.

Choroby kręgosłupa (skrzywienia, garby) stawów, kości, mięśni, nerwów, przemiany materji (artretyzm i t.p.). Mechanoterapia (przyrządy motorowe), gimnastyka lecznicza, przyrządy do leczenia elektryczno-świetlnego i gorącym powietrzem.

BIURO MELIORACYI ROLNYCH ORAZ BUDOWY CEGIELNI I FABRYK DRENÓW.

INŻYNIEROWIE:

S. TURCZYNOWICZ, A. PONIKOWSKI, W. TROJANOWSKI i E. OSTROWSKI.

KREDYT MINISTERJUM ROLNICTWA I TOWARZYSTWA KREDYTOWEGO ZIEMSKIEGO.

WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 108 (róg Chmielnej), tel. 115-02. — Oddziały: WILNO, Plac Katedralny № 12 (dom Bogdanowicza), MIŃSK-LITEWSKI „HOTEL-GARNI”, przedstawiciel inż. IWASZKIEWICZ.

TABLETKI KEFIROWE do wyrobu domowego **Apteki MODLIŃSKIEGO i LILPOPA, w Warszawie Czerniakowska 83.**
☐ KEFIRU ☐ Dostać można we wszystkich aptekach i składach aptecznych.

Najpierwsza krajowa fabryka **POMP**
Sikawek, Narzędzi ogniowych
i Aparatów assenizacyjnych

42 wyższe nagrody na wystaw. w Europie i Ameryce

Józef Troetzer i S^{KA}

Egzystuje od 1842 roku

w Pruszkowie
Biuro w Warszawie
ul. Hr. Berga 2

Henryk — więc do miłego zobaczenia, wróć, na pewno wróć!

Siódma wieczór, salon pełen obrazów, rzęsiście oświecony, kwiatów pełno, lustra płoną, ciepło, potulnie. Pani Morska czeka na gości, przybył dopiero Henryk — rozmowa toczy się leniwo, Henryk własnymi myślami zajęty. — Już pół do 8-ej, każę podać, mówi pani Morska — one niebawem nadejdą. Tobie daleko na Nadwiślańską, wszak znalazłeś technika i wyjechać ci pilno...

— No, tak, tak — odpowiada bez przejęcia się Henryk.

Dzwonek w przedpokoju. Zaszumiało. Ukazują się oczekiwane panie.

— Jakże się cieszę — mówi pani Morska, — żeście nareszcie przyszły. Mojemu siostrzeńcowi pilno, musi zaraz po obiedzie lecieć na Nadwiślańską?

— Czy tak? — pyta Laura.

— Zapewnie — mówi napozór chłodno Henryk.

Przy obiedzie toczy się rozmowa ogólna. Ciotka mówi o Kairze, o ostatniej wycieczce tam p. Henryka, — on zaś, choć opowiada rzeczy ciekawe, ale sam więcej się jeszcze zajmuje obserwowaniem młodej, siedzącej obok niego osóbką. Zauważył, iż jest żywa, lecz że się hamować umie, — to zyskało jego aprobatę, gdyż mniemał, że w Polsce nikt hamulca nie zna. Potem jest dyskretna, o sobie wiele nie myśli, ani sobą zajęta nie jest, nie chciała pokazać przywiezionych filiżanek, widać stąd, iż popisu nie lubi, a swoją drogą jest rozbudzona. Przy tem oczy nie są bezmyślne, pod długą czarną rzęsą; wzrok jest jasny, czysty, błękitne oko — ma spojrzenie, które widzi... Co do uśmiechu, to ma całą

ogromną skalę... może być smutny z cieniem goryczy... jasny, świetlany, a ząbki pełne blasku tyle wdzięku dodają... Henryk jest fizjonomistą, wszystko mu do wniosków służy: nos prosty oznacza charakter serjo, broda zaokrąglona — silną wolę, owal proporcjonalny — harmonję nie tylko twarzy, ale ogólną. Czoło myślące dobrze wróży, zapowiada umysł głębszy. I rzeczywiście, Egipt i Kair i ekonomja polityczna, i telegraf bez drutu, i najnowsze poezje Tetmajera — nic jej obcem nie jest; w dodatku jeszcze się rumienić umie... to dziwno, w dwudziestym wieku taki rumieniec, własność, która tylko do gatunku dusz bardzo subtelnych należy. I taka troskliwość o matkę, rzekłbyś, że to jej dziecko. Parę razy z dowcipu ciotki i Laura i jej towarzysz równocześnie się uśmiechnęli.

— Gdzie państwo mieszkają w Milanówku? — zapytuje.

— W willi brzydkiej, bo żółtej, koloru zazdrości.

— Czy ta barwa cechą pani? — pyta swobodnie.

— Dotąd życiem nie zdobyłam sobie tego przymiotu.

— Więc to się przez życie zdobywać musi, — zapytuje.

— Łatwiej, niż dobro, bo prędzej do nas każde zło przystaje, ale... i tu się zatrzymuje, ale po co, dodaje... tracić illuzje, one są tak potrzebne — dają siłę życiową, tak łatwo je można przechować, byleby trzymać lampę ideału.

— To lampa bardzo krucha, którą łatwo na kawałki roztrzaskać — z uśmiechem dodaje Henryk.

— Może dla nieostrożnych, krucha, ale od czego przeczność?



NAJLEPSZE GRAMOFONY

Z ORYGINALNYMI SZWAJCARSKIMI MECHANIZMAMI,
●RAZ PŁYTY w WYKONANIU SIŁ PIERWSZORZĘDNYCH

POLECA: **B. RUDZKI**

WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 87.

●●●●●●●● CENY FABRYCZNE STAŁE. ●●●●●●●●
CENNIKI I REPERTUARY NA ŻĄDANIE BEZPŁATNIE.

ZAWIADOMIENIE.

Po gruntownej i artystycznej przebudowie otwarto
RESTAURACJĘ W HOTELU ANGIELSKIM
(Wierzbowa Nr 6)

Z poważaniem **J. JORDAN.**

Telef.: bufet 5-90, sala 27-28, gabinety 20-74, szatnia 36-02.

A. HERTEL

FABRYKA POWOZÓW

W WARSZAWIE, DŁUGA № 29.

TELEFON № 22-21.



— Nie lubię tej cnoty, — odpiera Henryk.

— Pan tak mówi, a wzrok pański temu prze-
czy — i z sympatją spojrzała na niego.

Lecz wszystko ma swój koniec, i miły obiad,
i przyjemna rozmowa. Następuje pożegnanie. Panie
odjeżdżają, Henryk jeszcze pozostaje.

— Spóźnisz się na kolej — mówiła ciotka.

— Zgoda i na to, — chcę się jeszcze coś o tej
pannie dowiedzieć.

— Czemu czas tracić napróżno, ty się z nią
nie ożenisz, a moja Lorcja zresztą partją nie jest!

W trzy tygodnie później wracał Henryk do pani
Morskiej, ale nie sam był — z narzeczoną, z Laurą.

Tym razem rzekł: — Ciotka urzędowo nie swa-
tała, ale przeznaczenie nas złączyło, i to w domu
cioci.

MARJA Z PRZEZDZIECKICH WALEWSKA.

Jak się ma zachować gospodarz wiejski wobec chorób swoich zwierząt domowych?

wskazuje broszura wysyłana gratis i franco z laboratorium chemicz-
nego **MAGISTRA KLAWE**, 10, Plac św. Aleksandra, Warszawa.

Z dziedziny kosmetyki i higieny.

ODPOWIEDZI I RADY.

Do wszystkich. W Kalotechnice, Marszałkowska 116, te-
lefonu № 16-73, wykonywa się pod kierunkiem wyłącznie le-
karskim wszelkie zabiegi racjonalnej kosmetyki, mianowicie
usuwanie wągrów, króst, kurzajek, zdejmowanie elektryczno-
ścią wszelkich znamion i brodawek, masaż twarzy elektrycz-
ny i wibracyjny, analizę włosów i elektroliza. Porady lekar-
skie codzień od 4—6.

Piotrkowiance. Wągry usunę pani na jednym posiedzeniu
w Kalotechnice, następnie myje się przez parę tygodni pe-
rełkami alkalicznymi oraz wycierać twarz płynem Vestą, a
wągry się już nie odnowią. Łupież zniszczy mydło płynne
Antrasolowe, Radiol zaś pobudzi cebulki włosowe do szybsze-
go porostu. W Piotrkowie dostanie pani u Kryńskiego.

Róży. Tak delikatną i wrażliwą cerę znakomicie konser-
wują Otrąbki Vesta z wodą Różaną radioaktywną, gdyż cera
pani najwidoczniej nie znosi mydła. Czerwoność rąk i nosa,
powstała wskutek odziębienia, radykalnie usunie krem Eros.
Smarować codzień na noc i włożyć rękawiczki kosmetyczne.

N. N. Zbytnią tuszę usunie Herbata D-ra Daloffa oraz
pigułki Oxylenowe. Po trzymiesięcznej kuracji osiągnie Sz.
Pan rezultat pożądaný bez żadnej szkody dla zdrowia. Oprócz
tego zalecam codzień masaż Autowibratorem D-ra Johansena,
który przeprowadzi również zmarszczki na twarzy. Sposób
użycia tego aparatu objaśni masażyстка w Kalotechnice.
Przed masażem konieczne trzeba posmarować twarz Kremem
Radium firmy L. Colsé, gdyż ten jest zbadany przez świat
naukowy lekarski i działa odżywczo na cerę.

Stal. prenum. Zęby wybiela, odkaża jamę ustną oraz
wzmacnia dziąsła Elixir radiowy, który ma własność jedno-
cześnie usuwać niemiłą woń z ust. Zwęzaczce do paznokci do-
stanie Sz. Pani w Kalotechnice, gdzie też wykonywa się wy-
tworną manicure.

Wszystkie wymienione przezemnie środki posiada na skła-
dzie Kalotechnika, Marszałkowska 116, tel. 16-73. W Łodzi
Spiess, w Wilnie Gruzewski, w Kijowie Jurotat, w Krakowie
Miklaszewski, pl. Dominikański 1, we Lwowie Pawłowski Aka-
demicka 21, w Lublinie Bernatowicz. M-me LENA.

DOM BANKOWY T. SZEMPLIŃSKI i S-ka

WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT № 40.

Kupno — sprzedaż papierów procent., akcji, asekuracja.
WSZELKIE INTERESY BANKIERSKIE.

TREŚĆ № 11.

Rocznica wioskowego pieśniarza (z portretem), przez S.
A liście lecą... lecą z drzew, przez Werę Skórkowską,
Nad pustem polem, przez Erazma Szymborskiego.
Jesieni czad, przez Władysława Zalewskiego.
Erazm S.: Szlachta zagonowa na Białej Rusi.
Wystuchaj, przez Stanisława Żytkowskiego.
Deszcz, przez Werę Skórkowską.
Z cyklu „Melodje jesienne“: W listopadzie, Szary dzień, przez
Remigiusza Kwiatkowskiego.
Wład. Jastrz. Zalewski: Cień (opowiadanie).
Hej, powiało dookoła, przez Stanisława Żytkowskiego.
Z chartami, przez Kniejowego.
Kopaszewo, przez K. M.
Niem tu ciebie.. przez W. Tyszkiewicza.
Worończa pp. Lubańskich, pow. Nowogródzki (plansza).
Sport (S. K. S.), przez R.
Z załobnej karty, przez S.
Przegląd Teatralny, przez Nick'a.
Moda, przez Marcèle.
Jak liść jesienny, przez Ibis'a.
Przeznaczenie, przez Marję z Przeddzieckich Walewską.
Z dziedziny kosmetyki i higieny: Odpowiedzi i rady, przez
M-me Lenę.
Odpowiedzi od Redakcji.
Niewierny mnich, prz. Jeske-Chońskiego.
Ogłoszenia.

